

# **Zeszyt Osuchowski**

Nr 13

OSUCHY 2016

**WYDAWCA**

Gminny Ośrodek Kultury w Łukowej  
23 – 412 Łukowa  
tel. 0 84 687 40 60  
e-mail: gokluk1@wp.pl  
www.lukowa.pl

**ZESPÓŁ REDAKCYJNY**

Wiesława Kubów, Maria Działo, Elżbieta Nizio, Tomasz Brytan

**DRUK**

Z.P. „Helvetica”  
ul. Włosiankarska 13  
23-400 Biłgoraj

**ZDJĘCIA**

zbiory prywatne: rodziny Szostaków, Jana Palucha, Jerzego Blicharza

## Relacja żołnierza AK z oddziału Józefa Steglińskiego „Corda”

Strumwind II rozpoczął się od zmasowanych nalotów na okoliczne wsie i osady w dniu 21 czerwca 1944 r. Ruszyła do ataku trzydziestotysięczna armia niemiecka. Po pacyfikacji terenu Lasów Janowskich oddział „Corda” miał się wycofać na teren już spacyfikowany, ponieważ „Cord” zdawał sobie sprawę z posiadanego uzbrojenia oraz gotowości oddziału do takiej walki. W niedzielę, przed walką odwiedził oddział mjr „Kalina” i po rozmowie „Corda” z „Kaliną” część oddziału została rozpuszczona. Osoby niezdekonspirowane i nieczujące się na siłach opuściły oddział. Pozostali tylko ochotnicy. Po odjeździe majora „Kaliny”, który pozostawił część broni, oddział został na nowo przeformowany. Znalazłem się w plutonie ppor. „Grota” jako erkaemista oraz dowódca drużyny. Po zajęciu stanowiska w dniu 20 czerwca na odcinku wsi Wolaniny miałem polecenie (rozkaz) zaatakowania Niemców z chwilą ich pojawienia się. Czekałem całą noc. Z daleka było słycać szum samochodów na drodze Zwierzyniec – Biłgoraj. Rano około godziny piątej zobaczyłem mały oddział niemiecki, który wyszedł na polanę. Było ciepło, noc czerwcową. Rękawy od mundurów mieli pozawijane, wesoło rozmawiali, palili papierosy. Nie spodziewali się, że za chwilę zostaną zaatakowani. Wydałem polecenie łącznikowi, by zawiadomił podchorążego „Pazura”, że ja zaczynam atak. Odciągnąłem zabezpieczenie erkaemu, poprawiłem taśmy. Ręce drżały mi, chwila opanowania i rkm zadygotał całą swoją mocą. Niemcy padali kładąc się pokotem. Posyłam serię za serią w tę drgającą kupę Niemców. Po chwili podrywa się drużyna i biegiem leci po pierwszą zdobyczną broń. Mamy pierwsze zdobyte karabiny maszynowe. Nie zastanawiając się i ja lecę pozostawiając rkm na stanowisku. Popełniłem bardzo duży błąd, powracam po chwili

i wydaję polecenie wycofania się na teren oddziału, taki był rozkaz „Corda”. Po ostrzelaniu drużyna wycofuje się na teren oddziału. Po drodze spotykam łącznika, który powiadamia mnie, że podchorążego „Pazura” nie spotkał. Po kilku minutach spotykam drużynę plutonowego Siembidy idącą mi na pomoc z polecenia „Corda”. Oni teraz zajmują moje miejsce, a ja melduję się w oddziale „Corda”. Przynosimy pierwszą zdobyczną broń. „Cord” po wysłuchaniu raportu i obejrzeniu broni udziela mi ostrej nagany, jak mogłem zostawić rkm i pobiec po broń. Pierwsza zdobyczna broń była silniejsza od rozsądku. Dostajemy śniadanie. Po nocy obóz został już zlikwidowany, stoją załadowane furmanki, cały nasz dobytek znajduje się na tych furmankach. „Cord” czeka na powrót podchorążego „Pazura” i plutonowego Siembidy. Po chwili, blisko obozu odzywa się głośnie ujadanie broni maszynowej. „Cord” po raz drugi wysyła mnie na pomoc. Lecę i widzę wyraźnie niedaleko obozu przemykających się Niemców. Puszczam parę serii z pozycji stojącej i wycofuję się na teren obozu. Tabor odjechał przez bagna tylko nam znaną drogą, lecz „Cord” czeka na „Pazura” i Siembidę, a ich nie ma. Pomiędzy drzewami przemykają już Niemcy. Opuszczamy obóz. „Cord” zaniepokojony co z nimi, po drodze jeszcze czeka, ale ich nie ma. Przyspieszamy kroku, idziemy do taborów. Nisko nad lasem krąży samolot. Szuka nas. Słychać głos „Sokoła”: „*Lotnik, kryj się!*”. Na chwilę przystajemy pod drzewami, potem ruszamy dalej. „Cord” jeszcze parę razy zostaje w tyle i czeka na „Pazura” i Siembidę. Nadaremnie, nie przyszli. Szybkim marszem zdążamy w kierunku wsi Margole. Po drodze spotykamy kolegów z innych oddziałów. Koleżeński uścisk dłoni „*Cześć*” i idziemy razem rażniej. Nad lasem w dalszym ciągu krąży samolot, szuka nas. Po chwili daje znać o sobie artyleria bijąc ciągłym ogniem. Pociski przelatują nam nad głowami. Pochylamy głowy i ciągle idziemy do wsi Margole. Niedaleko wsi zostajemy nagle zaatakowani z broni maszynowej. Bierzymy wieś szturmem z marszu. Wpada w nasze ręce kilku Niemców, którzy ukryli się pod mostkiem. Wyciągamy ich stamtąd, rozbieramy do bielizny, odbieramy broń. Jeńców odsyłamy do „Kaliny” na przesłuchanie. Zapada noc. Kierujemy się podobno do oddziału „Skrzypika”. Po przybyciu na miejsce

dostajemy posiłek i tam nocujemy. Pierwszy dzień walki minął. Jest co wspominać i nauka na przyszłość, jak się zachować. Noc mija szybko. Poranna pobudka przez niemiecką artylerię i zmasowany ogień z broni maszynowej podrywa wszystkich na nogi. Krótka komenda „Corda”: „*Na stanowiska!*”. Po chwili odpowiadamy krótkimi seriami z naszej broni. Obok mnie widzę „Głaza”, niedaleko leży „Wiewiórka”, „Bohun”, „Teczka”, „Jagoda”, „Grom”. Prowadzą ciągły ogień. Wśród nas uwijają się instruktorzy: „Sokół”, „Grot”, „Brzózka” i inni. Słychać szum samolotu, który bez przerwy krąży nisko nad lasem. Kilka erkaemów zmienia stanowiska i ogniem ciągłym bije seriami w samolot. Zapalił się, opada i niedaleko wsi Aleksandrów wali się na ziemię. Bezkarność nie uchodzi. Za strącony samolot Niemcy odwzajemniają nam się zmasowanym atakiem ze wszystkich stron. Ogólne zamieszanie poszczególnych oddziałów. Widać chłopców od „Wira”, „Woyny” i z innych oddziałów, którzy w zamieszaniu znaleźli się nawet wśród nas. Artyleria robi straszne spustoszenie. Stuletnie drzewa wylatują w powietrze. Słychać głosy i nawoływania. Sanitariusz potrzebny z każdej strony. Artyleria miążdży nas, jesteśmy bezsilni, widać dużo rannych i zabitych. Czołgi przystąpiły do ataku. Podchorąży „Śniardwy” zajmuje stanowisko z Piatem. Kilka oddanych strzałów w kierunku czołgów, choć niecelnych, zmusza je do wycofania się. Następuje atak za atakiem. Znowu nisko nad lasem zaczynają krążyć samoloty, ale tym razem sypią na nas bomby, ostrzeliwują z broni pokładowej. Rozpętało się piekło. Niemcy za wszelką cenę chcą nas zepchnąć z zajmowanych stanowisk. Nie wiadomo już, gdzie jest jaki oddział, wszystko wymieszane. Walczymy ramię przy ramieniu i odpieramy ataki za atakami nie ustępując miejsca. Słychać pojedyncze głosy i nawoływania Niemców oraz widać wśród drzew postacie Niemców z psami i głosy nawołujące do poddania się. Walka przeciąga się i trwa to już kilka godzin. Musimy oszczędzać amunicję. Zmęczenie daje się we znaki i jednym i drugim. Artyleria powoli cichnie, odzywają się tylko erkaemy i moździerz. Następuje chwilowe uspokojenie tak bardzo potrzebne. Teraz dopiero widać żniwo walki. Co krok leżą zabici i ranni, powywracane olbrzymie drzewa, olbrzymie wyrwy i leje po

pociskach. Zaczyna opanowywać nas głód i każdy szuka kawałka chleba, by go zaspokoić. Musimy chwilę odpocząć. Wśród nas kręcą się sanitariuszki oraz „Cord” i inni instruktorzy. Uspokajają i dają trochę otuchy: *„To nic chłopcy, spisaliście się bardzo dzielnie, tylko spokojnie celuj i z rozważą oszczędzaj amunicję, pamiętaj, że wróg musi przyjść do ciebie, celuj uważnie”*. Przyglądamy się sobie, zbieramy informacje kto żyje, kto ranny, kogo brak. Widać nie jednego ze łzami w oczach. Przeszliśmy chrzest bojowy, to dodaje wiary w siebie. Po bitwie następuje na nowo przeformowanie oddziału. Część partyzantów zostaje oddelegowana do pomocy rannym, a jest ich sporo. Z mojej drużyny zostaję sam. Zachowuję spokój, dziwne zobojętnienie. Obok mnie „Cord” mówi spokojnym głosem: *„Ładnie „Żółty” tylko spokoj, oczyść rkm, przyda się na pewno, uzupełnij amunicję, masz jeszcze granaty”*. Spokój i opanowanie „Corda” udziela się wszystkim. Teraz zajmuje się rannymi. Sanitariuszki zakładają opatrunki. Każdy odpoczywa, naprawia uszkodzony sprzęt, doprowadza się do dobrego wyglądu. Słychać coraz weselsze głosy, następuje ogólne odprężenie. To dobry znak. Od czasu do czasu słychać pojedyncze strzały oraz nawoływania i szczekanie niemieckich psów. Powoli zapada zmierzch, minął kolejny dzień walki. Po zjedzeniu jako takiej kolacji przytulamy się do drzewa i każdy zasypia twardym snem, słychać nawet chrapanie. Zapada czerwcowy noc po bardzo znojmym i krwawym dniu. Jedna i druga strona szykuje się pomimo spokoju do następnego dnia. W nocy następuje przeformowanie poszczególnych oddziałów. Dowódcy dostają zadania na następny dzień. Rano dowiadujemy się, że dowódcy radzieccy proponują nam wspólną walkę, ale pod warunkiem, że major „Kalina” ma oddać podległe mu oddziały partyzanckie pod ich dowództwo. Po naradzie z dowódcami poszczególnych oddziałów, odmawia poddania oddziałów AK pod dowództwo radzieckie. Pozostała nam walka na własną rękę. Co przyniesie następny dzień? Pada rozkaz wycofania się na tereny jeszcze niezajęte przez Niemców tj. na bagna. Tabory zostają na duktach leśnych. Zabieramy ze sobą tylko amunicję i żywność. Konie przydzielono do pomocy rannym. Widzimy rozpalony ogień. Obok siedzi major „Kalina” ze sztabem oraz

dowódcy oddziałów i niszczą archiwum. Wysypuje się worek po worku. Niszczy się wszystko w ogniu, by nie dostało się w ręce wroga. Na dukcie pozostaje bryczka, którą jeździł major „Kalina”. Bryczka ta była ofiarowana majorowi „Kalinie” przez „Corda”, a zdobytą została przez nasz oddział na szefie biłgorajskiego gestapo Colbie. Samemu szefowi gestapo niestety udało się ująć z zasadzki cało. Powoli wycofujemy się na bagna. Grzęźniemy po pachy, pomaga jeden drugiemu, byle nie zamoczyć broni. Łączymy po dwa – trzy pasy, wyciąga jeden drugiego. Słychać już szum samolotów, odzywa się artyleria i zaczynają grać erkaemy. Dzień rozpoczyna się na nowo, artyleria wzmacnia siłę uderzenia. Obok nas padają pociski, ale topią się w bagnie, wypryskują tylko fontanny błota. Pomiędzy drzewami pojawiają się Niemcy idący uparcie za nami. Walka wzmagą się, słychać głosy i nawoływania. Część partyzantów szuka ratunku pośród krzaków i wykrotów. Zapadamy się w bagno coraz dalej i dalej, pomagając sobie nawzajem. Niemcy strzelają do poszczególnych partyzantów, nawołują do poddania się. Psy odnajdują ukrywających się. Walka jest krótka, kilka strzałów i znów ktoś ubył. Staramy się za wszelką cenę wydostać z tego piekła. Strzały armatnie wystraszyły zwierzynę. Sarny, dziki i lisy wystraszone hukiem uciekają robiąc zamieszanie wśród niemieckich psów. Po jakimś czasie udaje nam się stanąć na twardym gruncie. Oglądamy się kto jest, a kogo brak. Najbardziej poszkodowani są ranni, choć każdemu z nas należy się wypoczynek. Oddział zmniejsza się z każdym dniem, ubywa wiele osób. Największym zmartwieniem „Corda” są ranni. Nie pozostawia nikogo, wszystkich trzeba zabrać. Część partyzantów niebędąca obsługą rkm zostaje przydzielona do pomocy rannym. Erkaemiści zostają bez pomocy, sami muszą zajmować się erkaemami. Widać duże załamanie wśród partyzantów. Każdy z nas zastanawia się, czy ciągły odwrót i wycofywanie się są właściwe. Udziela się to też dowódcom. Wielu partyzantów zwraca się do dowódców o zezwolenie odejścia z oddziału i przejścia przez kordon na własną rękę, między innymi: „Wiewiórka”, „Bohun” i inni. „Cord” wyraża zgodę i z każdą chwilą oddział topnieje. Widać troskę dowódcy. Do „Corda” zwracają się ranni: „Co z nami?”. „Cord” pociesza jak umie

i obiecuje, że nikogo nie zostawi. Co krok widać zabitych, co krok widać też miejscową ludność, która uciekła przed pacyfikacją. Całe rodziny z dziećmi i dobytkiem na wozach wraz z krowami, świniami. To co mieli zabrali ze sobą, nauczeni poprzednią pacyfikacją w 1943 r. W wyniku tej akcji Niemcy palą osady i całe wsie. Widać w około dymy. Złapaną ludność i partyzantów Niemcy zabijają na miejscu lub w najlepszym razie wywożą do uprzednio przygotowanych obozów przejściowych w Tarnogrodzie lub Biłgoraju. Tam następuje segregacja i wysyłka na Majdanek, do Zamościa, na przymusowe roboty lub zabijają na miejscu. Najbardziej mszczą się miejscowi Ukraińcy: „*Budzim Lachów rezać*”.

Oddziały znalazły się w kłopotliwej sytuacji: zbyt wielu rannych, zaginionych, brak amunicji, brak żywności. Widać bezsens walki, jednak trzymamy się dzielnie. Widzi to również dowództwo. Po długiej rozmowie z majorem „Kaliną” i sztabem, major „Kalina” decyduje się przekazać dowództwo w ręce „Corda”, „Wira”, „Woyna”. Oni też decydują, że będziemy się przebijać. Wyczekamy tylko odpowiedniego miejsca i chwili. Wracają do oddziału ci co mieli przejść na własną rękę. „Cord”, „Wir” i „Woyna” zasięgają od nich informacji, czy są jakieś słabe punkty oporu. Przewaga Niemców jest miażdżąca. Dwudziestu Niemców na każdego partyzanta nie licząc artylerii, broni, czołgów, samolotów i łączności. Walczymy z determinacją, walczymy już tylko o przetrwanie. Zaczyna brakować amunicji. Dowiaduję się, że dziś w nocy Rosjanie będą przebijać się przez linię kolejową Długi Kąt – Susiec. Podobno mają dostać wsparcie w samolotach, które zbombardują linię kolejową. Widzimy jak podciągają się w kierunku Suśca. Widać wśród nich dużo rannych. Pytamy się „Corda”, czy pójdziemy z nimi. „*Zastanowimy się, zobaczymy jak powiedzie się im atak. Jeśli przełamią linię, to pójdziemy w ich ślady.*” Sytuacja uspokaja się. Czekamy nocy, jesteśmy przygotowani do pójścia. Nadchodzi noc 23 czerwca, noc krótka i ciepła. Ze wszystkich stron słychać pojedyncze strzały, głośnie nawoływania oraz pożary palących się domostw. Mijają chwile wielkiego napięcia, czekamy przylotu radzieckich samolotów. Cisza. Po długim oczekiwaniu Rosjanie zaatakowali huraganowym ogniem



broni maszynowej. Po chwili włącza się niemiecka artyleria, bije bez przerwy. Wysoko nad naszymi głowami przelatują pociski. Niebo oświetlone jasno rakietami, widno jak w dzień. Leżymy przyciśnięci do ziemi, piekło. Powoli ogień słabnie. Słychać nawołujące się głosy. Powracają Rosjanie, zwracają się do nas o papierosa. Nikt nie odmawia. Pomocy udzielają sanitariuszki. Są rozczarowani, że nie przyleciały samoloty, mówią to otwarcie. Tym razem się nie udało. Odchodzą powoli i kierują się na bagna. Będą czekać odpowiedniej chwili na ponowienie ataku. Rano Niemcy rozpoczynają porannym atakiem samolotów. Po chwili włącza się artyleria, bije miarowo po duktach. Wiedzą doskonale, gdzie jesteśmy. Teren nieduży, jesteśmy ściśnięci na małym skrawku ziemi bez pomocy z zewnątrz, bez łączności i wystarczającej amunicji. Głodni, walczymy o zachowanie twarzy. Tak potrafią tylko Polacy. Przewaga Niemców rośnie z każdym pociskiem. Głośnym okrzykiem „Hura!” dodajemy sobie animuszu. Kontrataków jednak nie podejmujemy, oszczędzamy amunicję. Teren penetrują nasze specjalne oddziały. Szukają słabszych miejsc, gdzie można by się przebić i wyjść z okrążenia. Na twarzach widać duże zmęczenie i troskę. Mamy po dwadzieścia lat, chcemy jeszcze żyć. Koło wieczoru dostajemy wiadomość od „Corda”, że dziś w nocy będziemy się przebijać. Powoli podciągamy nad rzekę Sopot w kierunku wsi Osuchy, podobno najdogodniejsze miejsce. Za nami ciągną ranni i reszta oddziałów innych zgrupowań. Zostaje wyznaczona grupa szturmowa w składzie: kpr. „Jagoda”, kpr. „Żółty”, strzelcy: „Brzózka”, „Głaz”, „Szarotka”, „Sygnał”, „Wiewiórka”, „Bohun”, „Przychodni”, „Grom”, „Lis”, „Łoś”, „Walter”, Chochla”, „Żwawy” oraz „Kurant”, wszyscy z oddziału „Corda”. Instruktorzy i „Cord” udzielają nam ostatnich wskazówek i porad jak mamy zaatakować. Amunicji musimy poszukać u Niemców, u nas już koniec. Dobre rady i uścisk dłoni. „*Ojczyzna wam tego nigdy nie zapomni*”. Zdajemy sobie sprawę z tego, że to nasze ostatnie chwile. Nikt jednak nie odmawia, wiemy że od naszego sprytu i odwagi zależy los reszty kolegów, a w szczególności rannych. Kończy się powoli następny, krwawy dzień. Nadchodzi dzień 24 czerwca 1944 r., z soboty na niedzielę. Dziś w nocy paprocie zakwitną, tylko czym,

i kto je będzie oglądał. Podciągamy nad rzekę Sopot. Na lewo ode mnie jest wieś Osuchy. Przez rzeczkę przebiega mostek. Tam ma zaatakować „Cord” ze swoją grupą. Mamy czekać na czerwoną racę. Bardzo powoli zsuwam się do rzeki. Zimna woda mnie ochładza, ale i ubranie lepi się do ciała, hamuje ruchy. Niedaleko od rzeki widzę stanowiska niemieckie. Na stanowisku rkm, a wokół niego grupa Niemców. Pałą ognisko, słysząc niemieckie głosy, więc podsłuchuję rozmowę, bo znam język niemiecki. Podciągam się powoli w ich kierunku tak, by granatem załatwić sprawę, by sforsować pierwszą linię. Mam już pewne doświadczenie bojowe. Leżę bez ruchu i czekam na rozkaz. Czas się dłuży, ciało przenika zimno, a mokre ubranie hamuje ruchy. Czekam. Przychodzą na człowieka różne myśli, byle nie zostać rannym, byle nie dostać żywym w ręce Niemców, bo tam i tak czeka śmierć. Głód daje o sobie znać burczeniem w brzuchu. Naraz słysząc wystrzały pistoletów maszynowych, raca leci w górę. Czas rozpocząć atak. Rzucam z rozważą do okopu niemieckiego jeden granat, po nim drugi. Huk i ogień w okopie. Zabieram trochę amunicji i lecę pędem naprzód. Obok mnie widzę podobne sytuacje. Byle dopaść do ładu zboża i tam chwilę odpocząć, zorientować się w sytuacji, gdzie jestem. Widzę przebiegających partyzantów, biegną w kierunku ładu zboża i tam szukają ocalenia. Spotykam sanitariuszkę „Ninę”, która opatruje ranę piersi jednemu z naszego oddziału „Corda”. Pomagam go nieść. Jest bardzo ciężki i duża niewygodna, rkm i ranny. Ze wszystkich stron atak Niemców. Biją wściekle, odzywa się artyleria, pociski biją ogniem zaporowym w rzekę. Nasz ranny dostaje ponowny postrzał i umiera nam na rękach. „Nina” sprawdza ponownie, nic tu po nas. Biegniemy przez ład żyta w kierunku lasu, byle tam, a tam zbawienie. Przed nami druga linia okopów niemieckich, na szczęście jakoś przebiegam. Byle dopaść do lasu. Biegnę sam. Ze wszystkich stron słysząc strzały z broni maszynowej, artyleria daje koncert, słysząc nawoływania i różne głosy. Dopadam lasu, zbawienego dla mnie lasu. Po ziemi ciągną się kolorowe przewody linii telefonicznej. W zasięgu wzroku widzę duży świerk. Gałęzie drzewa dotykają ziemi. Wsuwam się pod ten świerk w ostatniej chwili. Słyszę niedalekie głosy. To grupa Niemców biegnie

w stronę rzeki. Przebiegają koło mnie. Zapiera mi dech, czy mnie zobaczą, ale spieszą się bardzo. Zostaję sam. Gdzie ja jestem? Nikogo z kim bym mógł porozmawiać, zorientować się dokąd teraz. Przychodzą do głowy rozmaite myśli. Po jakimś czasie słyszę znów głosy, a zza drzew wyłania się grupa ludzi. Nie wierzę własnym oczom. Biegnie instruktor „Sokół”, „Głaz”, „Grom” i inni nieznani mi ludzie, więc dołączam do nich. Padają pytania skąd się tutaj wziąłem. W kilku zdaniach opowiadam swoje przejścia. Zatrzymujemy się w krzakach. „Sokół” wyjmuje z chlebaka mapę sztabową. Na podstawie tej mapy przypuszczamy, że znajdujemy się koło wsi Chmielek. Niedaleko powinny być stawy. W chlebaku „Sokoła” znajduje się też paczka kawy zbożowej i każdy z nas posila się tą kawą. Doprowadzamy się do jakiegoś porządku, a w szczególności broń. Mamy ze sobą 3 rkm, brak tylko amunicji. Co dalej? Po długim namyśle wybieramy drogę powrotną w znany nam teren. Ze wszystkich stron słychać tylko jazgot broni maszynowej oraz rozmaite głosy i nawoływania. Pomiędzy drzewami przebiegają w różne strony ludzie, byle dalej od rzeki, byle dalej od miejsca przebicia. Niemcy na pewno będą ponownie próbowali zamknąć pierścień okrążenia i wyłapywać tych, co się przebili. Marszem ubezpieczonym pod wodzą „Sokoła” wyruszamy w kierunku stawów. Po przejściu lasu przed nami stawy, ale teren otwarty. Rozglądamy się na wszystkie strony. Na niebie widać samolot. Krąży powoli wypatrując ludzi i wreszcie znika nam z oczu. Puszczamy się pędem do stawów, zanurzamy w wodę, chowamy głowy w trzcinnie. Znów samolot zaczyna krążyć wokół stawu, ale po chwili odlatuje. Nie wychodząc ze stawu posuwamy się powoli, byle dalej, byle do następnego stawu, byle dostać się do zbawiennego lasu po drugiej stronie stawów. Tutaj w każdej chwili możemy być odkryci przez samolot lub patrol niemiecki. Po jakimś czasie udaje nam się dostać na drugą stronę stawów. Zmęczeni i zmoczeni do nitki, ale szczęśliwi dochodzimy do zbawiennego lasu. Las przedstawia straszny widok, połamane drzewa, leje po pociskach. Tędy przeszła wojna. Pod krzakami ciała poległych partyzantów, a obok kręcą się lisy i kruki rozszarpując ciała, których nikt nie chowa. Wokoło pustka. Ponownie na podstawie mapy ustalamy

miejsce swojego postoju, chwilę odpoczywamy. Trzech partyzantów odchodzi w swoje strony. Zostajemy w czterech: „Sokół”, „Grom”, „Głaz”, „Żółty”. „Sokół” decyduje, że ciągniemy w kierunku wsi Brodziaki w znany nam teren. Idziemy różnym krokiem. Zza drzew wylania się jakiś dom, gajówka. Przystajemy i obserwujemy, żadnych głosów, żadnych ruchów. Posuwamy się powoli, bo może to być zasadzka, ale nie. Na podwórzu widać zabitą kobietę, obok dwoje małych dzieci też martwych. Penetrujemy dom w poszukiwaniu jakiegoś jedzenia. Odnajdujemy tylko beczułkę ze słonym serem. Każdy nabiera garściami byle zaspokoić głód, ale szybko uciekamy z tego miejsca. Znowu dostajemy się do lasu. Po drodze taki sam widok po bitwie, połamane drzewa i trupy leżące wśród drzew. Tędy też przeszła wojna. Pod wieczór dostajemy się na teren dobrze nam już znany. „Sokół”, „Grom” i „Głaz” idą do wsi Brodziaki. Natomiast ja kieruję swe kroki do gajówki państwa Kulińskich. Znam tam każdego, z Wackiem Kulińskim byłem przecież w jednym oddziale partyzanckim, gdzie był łącznikiem. Powoli wchodzę do domu. Pies ujada wściekle. Z domu wychodzi pani Kulińska i długo mi się przygląda, a następnie żegna się. *„To pan, panie Zenku? Matka pańska dała już na mszę, a pan jednak żyje”*. Widzi przed sobą strzep człowieka. Szybko nastawia balię z wodą i każe mi się umyć, a sama szykuje jedzenie, ubiera mnie w ubranie swego syna i chowa broń. Dostaję szklanekę wódki i jedzenie. Długo mi się przygląda. *„Pan miał szczęście. Nie wierzyliśmy, że ktokolwiek z was stamtąd wróci”*. Zасыpiam przy stole. Rano ktoś usiłuje mnie obudzić i szarpie bez przerwy. To państwo Kulińscy powiadomili moją matkę, że żyję. Przyszedł brat z ubraniem i jedzeniem. Muszę na nowo opowiadać przebieg walki. Wszyscy opowiadali cuda o tej kampanii, o bohaterstwie partyzantów z oddziału „Corda”. Każdy się dopytuje o najbliższych, o znajomych. Niewiele wiem kto się przebił, kto ocalał i sam jestem ciekaw, kto wrócił z tamtego świata. Zaczynam nowy rozdział życia. To cud, że wyszedłem z tego piekła. Po rozerwaniu blokady pod Osuchami część partyzantów uszła Niemcom. „Cordowi” nie udało się wyprowadzić rannych. Zostali schwytni i przewiezieni do obozów przejściowych w Tarnogrodzie i w Biłgoraju. „Grot”,

Tadeusz Ludwik i inni zostali rozstrzelani na stadionie sportowym i na Rapach. Sam „Cord”, „Woyna”, major „Kalina”, kpt. „Mały”, strz. „Gordon” i dziesiątki innych kolegów partyzantów poległo w tej bitwie. Straty oddziału „Corda” były bardzo duże. Około 80% poległo w czasie walk. Byli to wspaniali koledzy partyzanci, mieli po 20 lat. Chcieli żyć, ale oddali życie za ojczyznę. Plutonowi podchorążego „Pazura”, o którym nie było żadnych wiadomości, i o którym cały czas myślał „Cord” co się z nimi stało, udało się w pierwszym dniu walki ująć i nie dostać się do kotła. W jego szeregach byli m.in. „Kniaź” i „Pelikan”. Chłopcy z drużyny Siembidy pochodzący z Woli wyginęli w pierwszym dniu walki, gdy szli mi na pomoc w dniu 21 czerwca pod wieś Wola. Jako mieszkańcy tej wsi oddali za nią życie. Rosjanie spróbowali ponownie się przebić i częściowo im się udało. Ponieśli duże straty. Znowu liczyli na swoje samoloty, które i tym razem nie przyleciały. Po zakończeniu pacyfikacji miejscowa ludność i my szukaliśmy poległych kolegów partyzantów na terenie walk i na bagnach. Odnajdowaliśmy ich pod wykrotami drzew, w krzakach, a nawet przywiązanych do drzew. Po zakończeniu walk Niemcy mieli czas. Oddziały specjalne z psami, złożone z SS odnajdowały pozostałych partyzantów i ukrywającą się w lasach miejscową ludność. Rozstrzeliwali ich na miejscu. Mało komu udało się ująć z tego piekła. W okresie okupacji ludność Zamojszczyzny była niszczone w szczególny sposób. Palono całe wsie i osady wiedząc, że ich ludność była ostoją partyzantki i sama brała udział w walce z Niemcami. Duże lasy były dobrym schronieniem dla wszelkiego rodzaju działalności partyzanckiej. Tędy przebiegał front w 1939 r. i po lasach znajdowano duże ilości broni i amunicji. Dlatego też dostęp do niej był łatwiejszy. Po lasach kręciło się sporo żołnierzy wrześnie, którzy nie mieli gdzie się podziąć. Wszystko to sprzyjało powstawaniu tam na miejscu oddziałów gotowych walczyć z Niemcami.

Oddział „Corda” powstał w 1943 r. i został ulokowany między wioskami Wola i Brodziaki w niedalekiej odległości od Biłgoraja ok. 4 km. Oddziałem dowodził porucznik lotnictwa Józef Stegliniński „Cord”, a jego zastępcą był ppor. „Witek”. Ponadto w oddziale było

wielu podoficerów, którzy stanowili jego kadre szkoleniową. Oddział „Corda” był obozem szkoleniowym i zajmował się dobrze rozwiniętym wywiadem, dlatego też nazywany był: „*Oczy i uszy obozów*”. W bliskości naszego obozu były oddziały „Woyny” i „Wira”, z którymi utrzymywaliśmy dobre stosunki sąsiedzkie i koleżeńskie. Łączyła nas nie tylko chęć walki z Niemcami, ale i niejednokrotnie szkolna przyjaźń. Oddział „Corda” posiadając dobrą kadre podoficerską zajęty był szkoleniem młodych adeptów na przyszłą kadre wojskową, która miała być przyszłością nowego Wojska Polskiego. Przez obóz „Corda” przewinęło się wielu młodych ludzi, chętnych odbyć podstawowe szkolenie wojskowe. Po odbytych szkoleniu część młodzieży nabrawszy chęci pozostawała w obozie na stałe, tworząc rozrastający się oddział partyzancki. Tworzyli go młodzi ochotnicy, uczniowie biłgorajskiego gimnazjum i okolicznych wsi. Spora część oddziału składała się także z zawodowych żołnierzy, podoficerów. Wspierał nas i udzielał informacji biłgorajski wywiad: Laszko, Bielecki, Kochmański, Iwanowski i inni bezimienni patrioci. Najmniejsze nawet ruchy wojsk lub przewidziane posunięcia Niemców były nam wiadome. Wywiad opanował pocztę, starostwo, magistrat, Kripo i inne jednostki niemieckie. Niemcy odwzajemniali się nam podobnymi posunięciami. Posiadali kilku konfidentów, lecz zostali oni szybko rozpracowani i zlikwidowani. Konfidentami byli: Rapa, Tałanda, A. Ostaszewski ze Zwierzyńca i zabrany od pani Mroczkowskiej przywieziony z Lublina szpieg (nazwisko nieznane). Na wszystkich tych konfidentach wykonano wyroki śmierci. Na konfidentów padł błądy strach i wielu opuściło Biłgoraj. Oddział „Corda” w wyniku pracy wywiadu dokonał zamachu na szefa gestapo w Biłgoraju Colba, który niestety uszedł z życiem. W nasze ręce dostała się jego bryczka i obstawa, która zapłaciła życiem. Bryczkę tę ofiarował „Cord” majorowi „Kalinie”. W wyniku pracy wywiadu oddział „Corda” dokonał w dniu 2 maja 1944 r. brawurowego wypadu na transport wódki. A było to tak. Od jakiegoś czasu Niemcy zrobili się bardzo ostrożni. Transporty niemieckie z Biłgoraja zaczęły wyjeżdżać tylko w obstawie wozów pancernych. Na rynku spalonego miasta stała tablica informacyjna dużych rozmiarów z napisem po

niemiecku: „Uwaga grasują bandyci”. Droga Biłgoraj – Zwierzyniec – Zamość była pod władaniem partyzanckim. Tak samo droga Biłgoraj – Tarnogród. Wszelkie wypadki na Niemców musiały być bardzo dobrze zorganizowane i tylko duży oddział mógł sobie pozwolić na wypad. W dniu 1 maja 1944 r. po dłuższej rozmowie z Bieleckim i Kochmańskim „Cord” i „Grot” wydali polecenie przyszykowania oddziału na „robotę”. Kilku miejscowych partyzantów zostało puszczonego do domu. U nas szykowano wozy i smarowano osie. Szef rozdawał dodatkową amunicję i granaty. Wszyscy instruktorzy byli zajęci, udzielali pouczeń i instrukcji. Zastanawialiśmy się, co to za robota. Na razie żadnych informacji, gdzie i co. Wcześniej polecono iść spać, gdyż musimy wstać bardzo rano. Nad ranem pobudka, szybko wydano śniadanie. „Cord” sprawdził stan gotowości oddziału i wydał polecenie wzmocnienia wart wokół obozu. Osiemdziesiąt procent stanu oddziału wyrusza na robotę. „Cord” osobiście sprawdził 4 erkaemy: „Jagody”, „Głaza”, „Groma” i „Żółtego”. Udzielił informacji co do zakresu działania na szosie Biłgoraj – Zwierzyniec. Oddział wyruszył marszem ubezpieczonym w kierunku wsi Wola. Na drodze zobaczyliśmy kolegów, którzy wieczorem wyszli z obozu, każdy z furmanką. Zastanawialiśmy się, co to za robota. Okrężną drogą szliśmy w kierunku drogi Biłgoraj – Zwierzyniec. Omijaliśmy wsie, by nie budzić mieszkańców i zachować ostrożność. Zza drzew wyłoniła się droga na Zwierzyniec. Dwa erkaemy zajęły stanowiska w kierunku Zwierzynca, a dwa w kierunku Biłgoraja. Reszta oddziału zajęła pozycje wzdłuż szosy. „Cord” wydał polecenie otwierać ogień tylko na jego wyraźne polecenie. Furmanki zatrzymano w lesie niedaleko szosy. Czekamy z niecierpliwością co nastąpi. Około godziny 10 rano ukazał się duży samochód ciężarowy jadący ze strony Zwierzynca. „Cord” przez lornetkę obserwował samochód i szosę, aby ktoś niepożądany nie wszedł nam w drogę. Po chwili komendant wyskoczył na szosę z pistoletem w ręku. Samochód zwolnił, a następnie zatrzymał się, wysiadł z niego kierowca i coś porozmawiał z „Cordem”. Dopiero po chwili poznaliśmy kierowcę. Był to dobrze nam wszystkim znany nasz kolega Bolek Dobrowolski. Z samochodu wyciągnięto także konfidenta. Samochód zjechał na



pobocze i teraz dopiero zorientowaliśmy się co to za robota. „Cord” wydał rozkaz rozładowania. Szybko otwarto skrzynię samochodu. Podjeżdżały furmanka za furmanką, ładowano na nie skrzynki z wódką i furmanka odjeżdżała w las. Cztery rkm gotowe do otwarcia ognia ubezpieczały oddział. „Cord” wesoło rozmawiał z Bolkiem, ale nie trwało to długo i samochód ruszył w kierunku Biłgoraja. Transport wódki odjechał do naszego obozu. Po drodze wydarzył się wypadek. Nisko nad lasem pojawił się niespodziewanie samolot. Przeleciał raz i drugi nad furmankami i zaczął zrzucić bomby zapalające. Zrobiło się zamieszanie, gdy jedna z bomb trafiła w furmankę załadowaną wódką, która zaczęła się palić. Spłoszone konie pognały w las, ale niedaleko był „Kniaź” i szybko ugasił ogień. Samolot oddalił się, a wozy skryły się w lesie. Część oddziału odeszła do pilnowania zdobyczy, a na szosie zostały 4 rkm jako zabezpieczenie. W czasie trwania akcji na szosie było spokojnie, nie pojawił się żaden niemiecki samochód. Akcja przebiegła szybko i sprawnie. Natomiast po jakiejś godzinie od strony Biłgoraja pojawiły się samochody niemieckie z gestapo i żandarmerią, a wśród nich Bolek. Pokazywał im miejsce rozładunku i kierunek, w którym odeszli rzekomo radzieccy partyzanci. Niemcy dość sprawnie i szybko zajęli stanowiska i rozpoczęli ostrzeliwanie pobliskiego lasu huraganowym ogniem broni maszynowej. „Cord” nakazał nam milczenie. Czekaliśmy spokojnie, kiedy Niemcy wejdą do lasu, ale tego nie zrobili. Natomiast gestapo wypuściło następnego konfidenta, by szedł naszym śladem. Konfident ten był nam dobrze znany jako dawny kolega ze szkoły. Nie uszedł daleko, gdyż czekaliśmy na niego. Bardzo się zdziwił jak zobaczył nas wokół siebie. Niewiele miał do powiedzenia, licząc tylko na łaskę, ale nie było jej – kara śmierci. Do oddziału już nie doszliśmy, transport wódki dotarł do obozu przed nami. W obozie wódkę szybko rozładowano, wypożyczone furmanki odjechały do okolicznych wsi po uprzednim, dobrym poczęstunku dla furmanów. Obie strony były zadowolone. Ta wódka była nam potrzebna na wymianę za broń i amunicję. To była wtedy taka waluta. Za parę dni odwiedził nas Bolek i opowiedział przebieg rozmowy z Niemcami.



Życie obozowe przebiegało jak w wojsku. Instruktorzy nie żalowali nam potu od samego rana po noc i w nocy, a w szczególności kandydatom na młodych dowódców. Tłumaczyli, że to dla naszego dobra. Nie jednemu zakręciła się łaza w oku. Po ćwiczeniach wszyscy zasiadali do wspólnego stołu. Obiad składał się z gęstej zupy i drugiego dania, przeważnie kartofli i gulaszu. Apetyt nam służył, bo byliśmy młodzi, silni i zawsze głodni, dlatego też oddział zaopatrzeniowy miał kłopot skąd wziąć prowiant. Zbliżały się Zielone Świątki, a jedzenia było bardzo skromnie. Długo zastanawiali się nasi skąd zdobyć jedzenie. Wsie były ubogie, ale wieśniacy pomagali jak mogli. Musieli dzielić się z Niemcami i nowymi oddziałami przybyłymi z innych stron. Duże jednostki partyzantki rosyjskiej też konfiskowały na swoje utrzymanie. Było ciężko i głodnawo. Z otrzymanych informacji dowiedzieliśmy się, że ksiądz proboszcz w Puszczy Solskiej ma trzy prosiaki w chlewie, ale kłopot, bo kościół był bardzo pilnowany. W nowym kościele był skład broni i amunicji, więc mogą być różne niespodzianki. Z samej Puszczy Solskiej było trzech braci Niziów, którzy dobrze znali ten teren i każdy zakątek Puszczy. Dobrali do pomocy dwóch zawodowych rzeźników, którzy byli w obozie i cała piątka dobrze uzbrojona w broń maszynową wyruszyła na łów. Rano dwa świniaki leżały na stole gotowe do obróbki. Akcja przebiegła szybko i sprawnie. Po dostaniu się do chlewa świniaki zostały tam na miejscu zabite i wyciągnięte na zewnątrz, następnie odniesione paręset metrów do stojącej furmanki. Warta niemiecka stała w odległości paru kroków i dalej pilnowała magazynów. Na pewno ksiądz proboszcz zdziwił się rano jak nie zastał świniaków w chlewie. Pewnie posądzał Niemców o kradzież. Jeden świniak został księdzu na otarcie łez. Świniaki szybko i sprawnie zostały oporzędzone i z apetytem przez nas zjedzone. Zbliżały się Zielone Świąta i w obozie mieliśmy wizytować gości, więc jedzenie było bardzo potrzebne. W święto ruch był od rana. Małymi grupkami ciągnęli do obozu zaproszeni goście z okolicznych wsi i z Biłgoraja. Na stołach suty, partyzantki obiad z poczęstunkiem zdobyczną wódką. Było wesoło i przyjemnie. Rodziny i koledzy mogli przekonać się jak wygląda partyzanckie życie. Przy tej okazji niejednen

zwrócił się do „Corda” z prośbą o przyjęcie. Wypytywali nas o panujące tu zwyczaje, o życie partyzanckie i oglądali broń. Niejeden nabrał takiej chęci, że zostałby już dziś. Po skończonym obiedzie goście powoli rozchodzili się do domu, bo zbliżała się godzina policyjna i czas było wracać. „Cord” pozwolił nawet odprowadzać gości. Powoli zapadał zmrok. Pozostały tylko miłe wspomnienia wspólnego obiadu. Niedługo trzeba było czekać, bo już za parę dni powiększyły się nasze szeregi. Zaczęli przychodzić nowi partyzanci. Każdy przynosił broń jaką miał, nawet jakiś obrzynek. Każdy z nich chciał być partyzantem i służyć ojczyźnie. Bardzo starannie zajęliśmy się naszymi kolegami. My ze szkoły dostaliśmy nowych elewów do przeszkolenia. Byli bardzo chętni, bo rekrutujący się z samych ochotników. Każdy szukał zemsty za rozstrzelanych braci, ojców, matki lub kogós z rodziny. Zamojszczyzna była intensywnie pacyfikowana i każdy widział to codziennie. Na wysiedlone tereny Niemcy przywozili swoich ludzi z Bukowiny, Besarabii i innych stron. Zdarzały się wypadki, że byli właściciele wiejskich zagród już wysiedleni podpalali własne obejścia, by nie służyły Niemcom. Nowe oddziały partyzanckie wyrastały jak grzyby po deszczu. Zamojszczyzna stała się partyzanckim krajem. Niepowodzenia Niemców na wschodzie i inwazja aliantów na zachodzie we Francji spowodowała masowy ruch partyzancki. Wrzało, nocami ze wszystkich stron słychać było strzały i łuny palących się całych wsi. Niemcy dali uzbrojenie Ukraińcom, a ci dokonywali masowych rzezi na Polakach. Nikt nie był pewny swego. Oddziały partyzanckie przyjęły na siebie rolę opiekunów ludności cywilnej, która była bezbronna wobec Niemców i Ukraińców. Wsie były pełne wycofujących się z frontu oddziałów niemieckich. O żywność było coraz trudniej, a my chcieliśmy jeść. Po informacji wywiadu „Cord” wspólnie z „Wirem” postanowili zrobić akcję na Liegenschaft , który znajdował się w samym Biłgoraju na Różnówce otoczony z trzech stron Niemcami. Po dłuższym rozpoznaniu i zebraniu informacji postanowiliśmy go zlikwidować. Na początku czerwca dobrze uzbrojeni i poinstruowani podeszliśmy nocą na Różnówkę. W obozie pozostały tylko wzmocnione warty, a 80% oddziału wyruszyła na akcję. Erkaemy zajęły stanowiska skierowane na

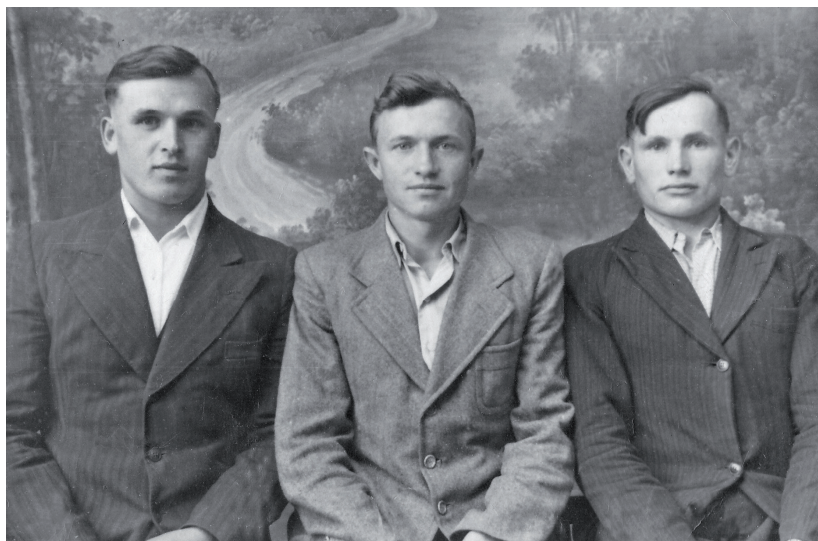
Biłgoraj. Od Niemców dzieliło nas tylko paręset metrów. Naszym zadaniem było zająć dom oraz stajnie i chlewy bez jednego wystrzału. Droga powrotna bowiem wiodła przez ruchliwą szosę Biłgoraj – Tarnogród. Musieliśmy działać przez zaskoczenie i to się udało. Konfiskacie uległo wszystko co się ruszało: świnie, krowy, kury, konie, drób, mleko z konwiami. Powoli cały tabor skierował się z powrotem do obozu. Cała akcja odbyła się szybko i sprawnie. Ludziom pracującym w Liegenschafcie nie wyrządzono żadnej szkody. Jak cicho przyszliśmy, tak samo cicho odeszliśmy. Po sforsowaniu drogi Biłgoraj – Tarnogród na znanym już nam terenie nastąpił podział zdobyczy między oddział „Wira” i nasz. Dalej każdy poszedł w swoją stronę. Na Niemców padł błdy strach, że dobrze strzeżone miasto zostało obrabowane w jedną noc. W mieście mówiono, że bardzo duży oddział radziecki dokonał napadu, a to zrobili chłopcy z Biłgoraja. Znowu poprawiły nam się miny, bo mieliśmy co jeść. Niepokoiły nas tylko słuchy o ponownych przygotowaniach Niemców do rozprawy z nami. Życie w obozie toczyło się dalej. Jedni przychodzili na przeszkolenia, inni musieli odejść z powodów rodzinnych, a nadciągała wielka burza. Zdobyta żywność szybko została przerobiona na boczki, kielbasy, kiszki i inne wyroby. Mięso zostało zapeklowane, schowane do bębnow zrzutowych i zakopane w ziemi. To samo stało się ze zdobyczną wódką. Przygotowywaliśmy się na spotkanie z Niemcami. Powodem tych przygotowań było wycofywanie się Niemców ze wschodu, którzy stacjonowali po wsiach, przez co stały się one dla nas trudno dostępne i bardzo ograbione przez wojsko. Z terenu nadchodziły różne wieści. Niemcy odgrązali się, że ich jeszcze popamiętamy. Z okolicznych wiosek wyłapywali młodych ludzi i wywozili do obozów: Rotunda Zamojska, Majdanek, Bełzec. W tym czasie już całkowicie zlikwidowali Żydów. Kominy Majdanka dymiły bez przerwy. Młodych i zdrowych ludzi wywożono na przymusowe roboty do Niemiec. Specjalne oddziały niemieckie przeważnie nocami otaczały wsie i osady. Złapaną ludność rozstrzeliwano na miejscu, nawet matki z małymi dziećmi. Młodych i zdrowych wywożono setkami. Wieś puszczano z dymem i pozostawały tylko zgliszcza i ślady osad. Bardzo krwawo płaciła Zamojszczyzna za

ukochaną ziemię i współpracę z partyzantką. Z początkiem czerwca Niemcy przeprowadzili dwie akcje obejmujące obszar Janów – Kraśnik – Biłgoraj – Zwierzyniec – Zamość – Hrubieszów. Trzydziestotysięczna armia niemiecka składająca się z doborowych oddziałów frontowych, SS, żandarmerii i oddziałów specjalnych przystąpiła do likwidacji oddziałów partyzanckich. Akcje te pod nazwą Sturmwind I i Sturmwind II pomimo zmasowanych ataków nie przyniosły pożądaných skutków. Część oddziałów mimo dużych strat na nowo zorganizowana stanęła do walki. Po krwawej rozprawie z nami pod wsią Osuchy, gdzie 80% oddziału zginęła, zaczęliśmy się na nowo organizować. Na wieś lub do miasta nie mogliśmy powrócić, gdyż byliśmy zdekonspirowani, a ponadto każdy z nas pałał chęcią odwetu za poniesione straty, za poległych kolegów. Pod Osuchami poległ „Cord”, „Woyna”, Bolek Dobrowolski, B. Wiśniewski, ppor. „Witek”, „Lis”, dwóch braci Niziów, Szarzyński. Nie sposób wyliczyć tych co oddali swe życie, a mieli po 20 lat. Henryk Źelezik „Student” miał tylko 16 lat. Ziemia Zamojska przesiąkała krwią poległych partyzantów i ludności cywilnej. Wiele bezimiennych mogił kryje się po lasach. Po przyjsciu do siebie na nowo zorganizowani znów zaczęliśmy walkę. Jedną z ostatnich walk była bitwa na Rapach. Spotkaliśmy się we czterech: E. Rosłań, Król, J.Szmidt i ja Buszkowski. Miałem sprawny rkm i trochę amunicji. Wypad zrobiliśmy na Rapach koło Biłgoraja w godzinach popołudniowych. Idąc na robotę spotkaliśmy po drodze dwóch naszych kolegów ze szkoły (W. Gwóźdź i Plizga). Koniecznie chcieli iść z nami, bardzo nas o to prosili. Rosłań wziął ich, przydadzą się. Po zajęciu stanowiska na wzgórzu i obserwacji terenu, zauważyliśmy Niemców jadących furmankami w kierunku Biłgoraja. Trochę szyku popsowała nam pani Urbańska z panem Zyśko, którzy szli w przeciwnym kierunku z Biłgoraja, ale „Sokół” nie namyślając się wiele wydał mi polecenie ognia. Rozszczekał się rkm i część Niemców została wybita od razu na furmankach, a część uciekła do lasu. J. Szmidt „Bohun” zaczął walczyć z jeszcze żywym Niemcem o automat, aż wreszcie mu go wyrwał. Wypuściłem parę serii z rkm w stronę Zwierzynca, gdyż tam na drodze pojawiła się grupa samochodów. W tym czasie pozostali koledzy

pociągnęli w stronę lasu krowę wraz z furmanką. Mieliśmy jakąś zdobycz. Nadjeżdżający Niemcy otworzyli do nas huraganowy ogień z broni maszynowej. Kończyła nam się amunicja i musieliśmy wycofać się w stronę lasu. Kolumna wojskowa zatrzymała się i po chwilowym namyśle zawróciła do Zwierzyńca, a my dotarliśmy do gajówki Kociołki do państwa Kulińskich. Pani Urbańska i Zyśko też szczęśliwie przetrwali w rowie. Tego samego dnia w nocy regularne oddziały radzieckie wkroczyły do Biłgoraja. Zaczęła się nowa rzeczywistość. Do domu powracali partyzanci. Część z nas, tak jak ja, od razu została powołana do wojska, a część pochowała się. Zaczęły się nowe porządki. W niedługim czasie część kolegów poszła na „odpoczynek”. Zostali aresztowani, a niektórzy powędrowali na Sybir: Kochmański, Bielecki, Laszko. W rodzinne strony wrócili po latach. Wielu nie przeżyło. Ojczyzna Ich nie zapomniała. Moje losy należały teraz do wojska. Zostałem wcielony do 7 pp piechoty jako erkaemista. Długo nie zagrałem tam miejsca, zostałem wysłany do szkoły oficerskiej, ale nie zostałem przyjęty, przeszłość okupacyjna nie pozwoliła. Ze szkoły otrzymałem przydział do 4 pp piechoty. Na moje szczęście w maju 1945 r. wojna zakończyła się. Następnie zostałem przydzielony do 32 pp piechoty na obławy do Krosna, lecz i tam nie zagrałem długo, gdyż zaczęto się mną interesować. Nie widząc dla siebie tutaj miejsca w listopadzie 1945 r. zdezerterowałem z wojska. Do Biłgoraja wrócić nie mogłem, dlatego zatrzymałem się w Częstochowie. Miałem tam trochę znajomych i zacząłem życie jako cywil mając się każdej pracy. Wśród tych znajomych znalazł się jeden nieżyczliwy i wydał mnie do UB. Tym znajomym był dawny mieszkaniec Biłgoraja Bogusław Wojtaszczyk. Znał mnie bardzo dobrze, wiedział o mojej przeszłości okupacyjnej. Zatrzymali mnie funkcjonariusze UB z Częstochowy: Wilczyński i Wekera. Znaleźli przy mnie większą sumę pieniędzy, co pozwoliło mi na odzyskanie wolności. Złakomili się na pieniądze, a ja na wolność. W roku 1946 opuściłem Częstochowę i przenieśliem się do Warszawy. Tam znalazłem nowych przyjaciół. Zatrzymałem się u państwa Szymańskich w środowisku AK. Ich syn i córka należeli do AK. Córka państwa Szymańskich przed naszym ślubem została aresztowana

i posądzona o szpiegostwo. Powodem aresztowania byli bracia. Jeden był pułkownikiem RAF, a drugi w ochronie gen. „Bora”. W tym czasie obaj znajdowali się w Anglii. Pobyt w UB mojej późniejszej żony nie był na szczęście długi, bo nie mieli żadnych śladów działalności szpiegowskiej. W 1947 roku skorzystałem z amnestii i uzyskałem wolność. Do Biłgoraja jednak nie powróciłem i zamieszkałem w Warszawie. Po ukończeniu szkoły i studiów zacząłem pracować w budownictwie, gdzie przepracowałem 39 lat. Do partii nigdy nie należałem jak również moja żona i córka. W roku 1963 po powrocie z Anglii zostałem aresztowany i zapłaciłem jak wielu moich kolegów za okupację i przynależność do AK.

*(opr. Maria Działo)*



Od lewej: Kazimierz Pacyk „Grom”, Teodor Zalesny „Znak”, Michał Sikorski.





Zenon Buszkowski  
„Żółty”



Kazimierz Pacyk  
„Grom”



Michał Sikorski



Teodor Zaleśny  
„Znak”



Paweł Sikorski „Jeleń”  
- poległ pod Osuchami



Jan Larwa „Bury”  
żołnierz z plutonu  
„Pazura” poległ  
w Smółsku  
w czerwcu 1944 r.

## **Historia działalności partyzanckiej w okresie II wojny światowej we wsi Pardysówka Duża i Pardysówka Mała, gm. Józefów koło Biłgoraja.**

Wieś Pardysówka Duża i Pardysówka Mała jest otoczona ze wszystkich stron kompleksami leśnymi łączącymi się z Puszczą Solską i stanowi przedmieście Józefowa koło Biłgoraja. W okresie okupacji niemieckiej dawało to możliwość ludności zamieszkałej na tym terenie do działań dywersyjnych przeciwko wrogowi. Niemcy realizując swoje plany zagłady Żydów i Polaków urządzali łapanki zabierając ludzi z mieszkań o różnej porze dnia i nocy. Wiele nocy mieszkańcy wsi Pardysówka Duża i Pardysówka Mała, jak również Józefowa spędzali poza domem, ażeby nie dać się złapać. Młodych ludzi wywozili do Niemiec na roboty, a starszych, przeważnie mężczyzn, do obozów. Strzelano do ludzi jak do dzikiej zwierzyny. Opisuję to, co z lat okupacji utrwaliło się w mojej pamięci. Tych doświadczeń, tych przeżyć nie można tak po prostu wymazać z pamięci. Lata naszej młodości były opłakane, ale mimo różnych represji, łapanek, które z każdym dniem się nasilały w stosunku do mieszkańców Józefowa, Pardysówki Dużej i Pardysówki Małej i ludności całego kraju, to wspominam je z rozrzewnieniem. W tym czasie niepewności jutra coraz bardziej wzrastał wśród ludności patriotyzm i miłość do Ojczyzny. Nie było podziału na lepszych i gorszych, był tylko jeden wróg i walka z nim całego narodu. Broń, amunicja, granaty i inne materiały wybuchowe pozostawione przez Wojsko Polskie w czasie kampanii wrześniowej 1939 r. były starannie zbierane i przechowywane, nie tylko przez naszych członków ruchu oporu, lecz przez wszystkich mieszkańców. Tak wraz z rozwijającym się zbrojnym ruchem oporu w okolicach Józefowa wszyscy mieszkańcy Pardysówki Dużej i Pardysówki Małej włączyli się czynnie do walki



z wrogiem. Działalność ludności wiązała się nie tylko z walką z bronią w rękę, lecz także z pomocą udzielaną oddziałom polskim i radzieckim w postaci żywności, odzieży, broni, amunicji, a także schronienia udzielanego rannym żołnierzom ruchu oporu i ludności cywilnej. W porze nocnej z 3 na 4 lutego 1943 r. mieszkańiec wsi Hamernia ob. Jan Knap przyprowadził do mnie dwóch rannych partyzantów, uczestników walk spod wsi Róża, z powiatu tomaszowskiego, którym zmieniłem opatrunki, dałem posiłek i na ich żądanie odprowadziłem do gajówki na wzgórzu przy Pardysówce Małej, do gajowego Jana Gontarza. O dalszych ich losach nic nie wiem. Wieczorem 9 marca 1943 r. miałem drugi przypadek udzielenia pomocy rannemu. Przyszli koledzy z lasu, z placówki i oznajmili mi, że potrzebna jest furmanka zaprzężona w parę koni w celu odwiezienia naszego rannego dowódcy Konrada Bartoszewskiego „Wira” do szpitala. Byli to dobrze mi znani koledzy: Jan Naklicki „Dyplomata” z Pardysówki Małej i Kazimierz Nowak „Florek” z tartaku w Długim Kącie. Dałem furmankę i swoją pierzynę na okrycie dla rannego. Takich przypadków było znacznie więcej. Jesienią 1942 r. kontakt z ludnością Pardysówki nawiązał oddział radziecki pod dowództwem „Miszki Tatara”. Przy życzliwej pomocy ludności oddział ten z każdym dniem się powiększał. Rosjanie ci byli bardzo wdzięczni za okazywaną pomoc. Nad ranem w dniu 4 lutego 1943 r. był najazd Niemców na Józefów, Pardysówkę Dużą i Pardysówkę Małą oraz okoliczne wioski. W celu osaczenia oddziałów partyzanckich zaczęli penetrować okolice Józefowa. Gdy mieszkańcy Pardysówki Małej zobaczyli zbliżające się oddziały hitlerowskie, zaczęli uciekać do lasu, niektórzy z bronią w rękę. W wyniku tego zginęło osiem osób z tej wsi, w tym Maria Naklicka matka młodego, dzielnego i wiernego partyzanta Jana Naklickiego „Dyplomaty”, który należał do organizacji od jej założenia i był jej wierny aż do wyzwolenia. Niemcy zabrali też z Józefowa wszystkich mężczyzn, którzy nie zdążyli uciec do lasu i wywieźli ich do obozu w Zamościu. Młodszy trafili do obozu w Majdanku, gdzie byli bici i maltretowani w celu uzyskania zeznań. Ocalała ludność ukrywała się w lasach, a osada Józefów jak i pobliskie wioski świeciły pustką. Po kilku dniach z powrotem powróciła do swoich domów.

## **Relacja Jana Śwista z pacyfikacji wsi Pardysówka Duża gm. Józefów pow. biłgorajskiego.**

Byłem mieszkańcem tej wioski Pardysówka Duża. Pod koniec miesiąca września 1939 r. powróciłem z wojny, w której brałem czynny udział. Aby nie być wywiezionym na roboty do Niemiec, podjąłem pracę w Nadleśnictwie Józefów koło Biłgoraja. W listopadzie 1939 r. wstąpiłem do Organizacji Podziemnej Ruch Oporu SZP, następnie ZWZ, a od 1942 r. do Armii Krajowej. Od założenia SZP aż do wyzwolenia, wieś Pardysówka Duża i Mała wchodziły w skład placówki AK Józefów pod dowództwem komendanta rejonu Józefów Konrada Bartoszewskiego „Wira”. Byłem naocznym świadkiem tych wydarzeń tj. przeprowadzonej pacyfikacji wsi Pardysówka Duża. Mieszkańcy wioski spodziewali się najazdu i przez dłuższy okres czasu byli czujni, bo stale była mowa o wysiedleniu, ale po jakimś czasie czujność osłabła. Wreszcie nadszedł pamiętny dzień 29 marca 1943 r., dzień płaczu i trwogi. Ludność wioski była pogrążona we śnie, a niektórzy już budzili się do codziennej pracy. Rano przed wschodem słońca zastukał do mnie do okna kolega, sąsiad Marcin Marzec i powiedział, że Niemcy są koło krzyża, który stoi do dzisiejszego dnia przy wiosce. Ukrywać się już niestety było za późno. Od strony lasu cała wioska była już obstawiona przez Niemców. Mieliśmy w obrębie podwórka zrobiony schowek, gdzie można było się ukryć, ale ze względu na brata i jego rodzinę zrezygnowaliśmy. Zdecydowało również to, że wszystkie budynki gospodarcze były kryte słomą i wiedzieliśmy, że w razie podpalenia wioski ulegniemy spaleni lub uduszeniu od żaru, ognia i dymu. Tak właśnie się stało z mieszkańcami, którzy ukryli się na terenie swoich zabudowań. Po podpaleniu wioski przez Niemców 16 osób spaliło się, bądź udusiło się w schronach m. in. Magdalena Kusiak, jej mąż Wawrzyniec Kusiak z trzema synami udusili się w swoim schronie. Ponieważ mieszkałem na początku wioski w czwartym domu, to miałem możliwość obserwacji wydarzeń od samego początku, aż do tragicznego finału. Niemiecka kolumna samochodowa, która przybyła do wioski w celu przeprowadzenia pacyfikacji składała się z 12 krytych

samochodów, wypełnionych żandarmami niemieckimi i ukraińskimi, służącymi w armii niemieckiej. Zaskoczeni mieszkańcy zerwali się ze snu, nie broniąc się zupełnie. Zresztą opór byłby bezskuteczny wobec silnie uzbrojonych Niemców i Ukraińców. Po wyładowaniu z samochodów załogi niemieckiej podzielono ich na grupy i w bardzo szybkim tempie rozbiegli się po wiosce. Żołnierze niemieccy po wejściu do mieszkań nie pozwalali nic zabierać, za wyjątkiem chleba i okrycia, tyle co na sobie. Jeden z żołnierzy widział pozostawiony na stole chleb, wziął go do ręki i podał bratowej, która miała przy sobie troje małych dzieci i zaczął krzyczeć, żeby prędkiej wychodzić. Po wyjściu z domu na placu zastaliśmy już sąsiadów. Było nas już 24 osoby. Nie można było ze sobą rozmawiać i co parę minut przybywało coraz więcej ludzi. Z drugiej połowy wioski przyprowadzono kilku mężczyzn z powiązanymi z tyłu rękami. Byli to: Stanisław Świstak, Marcin Kusiak, Józef Kmieć, Tomasz Haczykowski, Stanisław Jamroz. Na placu ręce im rozwiązano i zapowiedziano, żeby nikt się nie ważył uciekać, bo wszyscy będą rozstrzelani. Zapanowała cisza i tylko od czasu do czasu słychać było w wiosce strzały. W tym czasie Niemcy wyprowadzili z lasu trzech mieszkańców Pardysówki Małej, przyłapanych przy układaniu kamienia w piecach do wypalania wapna. Byli to: Franciszek Drożdziel s. Józefa, Franciszek Drożdziel s. Michała, Michał Korzec. Dołączono ich do naszej grupy. Gestapowiec major Lange, który ich przyprowadził przemówił po polsku do mieszkańców znajdujących się na placu. Poinformował, że kto posiada przy sobie pieniądze, to niech odda do depozytu, bo później mogą się nam przydać. Kto nie odda, a znajdzie przy rewizji, to już nie będą zwrócone. Ludzie pieniądze oddawali, gestapowiec zapisywał, ale już nigdy ich nikt nie oglądał. Z zabudowań wypędzonych mieszkańców wynoszono różne rzeczy, które miały większą wartość, jak maszyny do szycia, koce, lepszą odzież, różny sprzęt gospodarstwa domowego i kilka sztuk trzody chlewnej, a następnie ładowano na samochody. Gdy wioska została całkowicie ograbiona z dorobku ludzkiego, wtedy nas zgromadzonych na placu pod eskortą żołnierzy niemieckich z psami odprowadzono do Józefowa. Po drodze zatrzymano nas pod murem kościelnym i kazano wszystkim

położyć się twarzą do ziemi. Rozległ się silny krzyk i płacz matek z dziećmi i starszych ludzi. Leżąc na ziemi spojrzałem w kierunku wioski i zobaczyłem wschodzące słońce, które tak ślicznie opromieniło swoim blaskiem wieś, jak gdyby po raz ostatni i tak się stało. W pozycji leżącej trzymano nas ponad pół godziny. Następnie kazano nam wszystkim powstać i wpędzono do miasta Józefowa. Tam nastąpiła segregacja. Mężczyzn z wyjątkiem starszych załadowano do samochodów i wywieziono do obozu przejściowego w Zwierzyńcu. Stamtąd po dwutygodniowym pobycie odwieziono nas do obozu w Zamościu. Młode dziewczęta i chłopców oddzielono od matek i wywieziono na roboty do Niemiec. Pozostałe kobiety i mężczyźni w podeszłym wieku, jak również matki z małymi dziećmi zwolniono i kazano wracać do domu. W dzień pacyfikacji podpalono wioskę. Na całą okolicę biła łuna pożaru, rozlegał się krzyk i płacz mordowanych mieszkańców, którzy byli ukryci w swych domach, a nie mogąc wytrzymać żaru ognia i dymu wychodzili ze schronów. Niemcy ich wyłapywali i spędzili razem na miejsce, gdzie znajdował się dół z lasowanym wapnem. Tam ich rozstrzeliwali i wrzucali ciała do tego dołu. W tym czasie przyprowadzono trzy młode dziewczyny, na których dokonano gwałtu. Następnie je rozstrzelano i również wrzucono do dołu z wapnem. Były to: Maria Żybura, Bronisława Malec, Anna Gontarz. Ogółem zginęło 56 osób, w tym troje małych dzieci do lat siedmiu z rodziny Kozyrów, 16 osób udusiło się, a 40 rozstrzelano. Taką cenę zapłacili mieszkańcy Pardysówki Dużej za swój patriotyczny stosunek do sprawy Wolności i Polski. Mieszkańcy zwolnieni z obozu powrócili na tłące się zgliszcza swoich domów z lekarzem Lesiukiem licząc, że może uda się kogoś uratować. Niestety z powodu ciężkich ran od kul wroga, jak również od żrącego wapna lekarz stwierdził zgon wszystkich leżących w dole.

## Wspomnienia z wydarzeń lat okupacji hitlerowskiej

Pierwszymi organizatorami ruchu oporu w rejonie Józefowa, z którymi miałem zaszczyt konspirować byli ludzie dobrze się znający i ufający sobie wzajemnie, a mianowicie: nauczyciel Jan Trochimiuk, naczelnik urzędu pocztowego Hieronim Miąg, magister filozofii Konrad Bartoszewski, sekretarz gminy Ignacy Płata (wszyscy z Józefowa), Kazimierz Solecki i Feliks Pardus z Pardysówki, Piotr Buchajski z Długiego Kątu. Piotr Wasiluk i Franciszek Mielniczek z Majdanu Nepryskiego i wielu innych kolegów, z którymi brałem czynny udział w wojnie obronnej w kampanii wrześniowej. Naszym zadaniem było zorganizowanie ruchu oporu z zaufanych, chętnych ludzi. Zabrałem się wówczas wraz z kolegami za zbiórkę broni, amunicji, granatów i innych materiałów wybuchowych pozostawionych w terenie przez nasze poddające się oddziały wrześniowe. Zbiórką broni zajmowaliśmy w ciągu dnia i gromadziliśmy ją w umówionych miejscach, a nocą przenosiliśmy do właściwych miejsc przeznaczenia. Późniejsi dowódcy oddziałów partyzanckich: Hieronim Miąg i Konrad Bartoszewski często niestrudzenie wędrowali z wioski do wioski, żeby być w kontakcie ze swoimi zaufanymi kolegami, którzy w przyszłości dowodzili drużynami i plutonami. Robiłem zebrania i uczyłem młodszych kolegów, którzy jeszcze nie służyli w wojsku obchodzenia się z bronią, jak należy ją konserwować i przechowywać oraz wygłaszałem pogadanki o tematyce patriotycznej. W pierwszych latach okupacji, pomimo przygnębienia przegraną w kampanii wrześniowej życie płynęło normalnym trybem. Z każdym dniem jednak narastała coraz większa wrogość i nienawiść do okupanta niemieckiego. Zwłaszcza, że zmuszano ludzi do różnych prac na rzecz hitlerowskich Niemiec tj. wyrębu drzewa w lasach, budowy dróg i nakładano obowiązkowe kontyngenty zobowiązujące do oddawania określonej ilości zboża, trzody chlewnej na mięso do niemieckich magazynów. Wprowadzono aprowizację tj. wydawanie żywności z ograniczeniem na kartki żywnościowe dla rodzin polskiego

i żydowskiego pochodzenia. Zarządzono też koczowanie trzody chlewnej i bydła. Za niewywiązywanie się z wyznaczonego kontyngentu w terminie, opieszali i oporni byli aresztowani i wywożeni do obozów, a nawet zabijani na miejscu. Takiej egzekucji dokonano w Majdanie Nepryskim na Marcinie Knapie, mieszkańcu Hamerni. Powodowało to ogromną niechęć, a często wręcz nienawiść do narodu niemieckiego. Dowództwo naszego ruchu oporu zapewniło mi zatrudnienie w Nadleśnictwie Józefów w charakterze pracownika służby leśnej, abym miał większą możliwość obserwacji tego, co się dzieje w terenie. Wydano mi dokumenty potwierdzające przez władze niemieckie moje zatrudnienie i żółtą opaskę, dzięki czemu miałem swobodę poruszania się w terenie. W miesiącach wiosennych pracowałem przy zalesianiu nieużytków leśnych po wyrąbanym drzewostanie. Zgłaszałem się każdego dnia do Józefowa w celu przydzielenia mi pracowników. Na rynku miasteczka było już ustawionych kilka szeregów młodzieży, około 100 osób. Byli to chłopcy i dziewczęta z Józefowa, Pardysówki Dużej i Małej, z Morgów i Borowiny, a także miejscowa młodzież pochodzenia żydowskiego i z transportów, które nadeszły z Poznańskiego. Młodzież chętnie gromadziła się do pracy, bo w przeciwnym razie groziło jej wywiezienie na przymusowe roboty do Niemiec. Ci, którzy uczęszczali do pracy darzyli mnie takim zaufaniem, że przeważnie chcieli iść do mnie do pracy, a nie do innych pracowników służby leśnej, którzy czuwali nad wykonywaną pracą. W tym czasie wyszedł rozkaz nieopuszczania domów przez mieszkańców narodowości żydowskiej. Następnego dnia nad ranem aresztowano około 150 osób pochodzenia żydowskiego z bogatych rodzin i nakazano im dostarczyć tyle złota, ile zażądamy żandarmi, to będą wypuszczeni na wolność. Okup dostarczono, a ofiary okupu wraz z innymi zakładnikami załadowano na samochody i wywieziono do stacji Długi Kąt, a stamtąd transportem kolejowym do obozu zagłady w Bełżcu. Zaczęło się masowe mordowanie ludności żydowskiej. W tym samym czasie zajmowałem się z młodzieżą pracą przy zalesianiu nieużytków leśnych za małą rzeczka Nepryszką. Usłyszeliśmy warkot samochodów, które przyjechały do lasu niedaleko od naszego miejsca

pracy. Przerwaliśmy pracę i ukryliśmy się w zagajnikach. Samochody zatrzymały się i po kilkunastu minutach słychać było serie strzałów z karabinów maszynowych, i to się powtarzało kilkanaście razy. Wracając z pracy z całą załogą natrafiliśmy na kilka mogił pomordowanych Żydów. Były to mogiły masowego mordu o długości około 12 metrów. W drodze powrotnej z lasu do Józefowa widziałem zastrzelonych kilkanaście starszych osób, które nie mogły wytrzymać tempa marszu grup pędzonych na rozstrzał. Po zakończeniu prac leśnych skierowano młodzież przeważnie pochodzenia żydowskiego do zbierania ziół. Zbiórka ziół trwała tylko trzy dni, a odbywała się na wzgórzach znajdujących się za wsią Pardysówka Mała. Pomimo, że władze okupacyjne zapewniały spokojny i bezpieczny powrót po zakończeniu pracy do swoich domów, to prawo to nie było przestrzegane. Zdarzył się przypadek, że powracający po skończonej pracy robotnicy z gajowym ze wsi Pardysówka Duża o nazwisku Szopa zostali rozstrzelani na drodze przez żandarmów. Od tej chwili młodzież żydowska już się do pracy nie stawiała. Spotkał ich ten sam los, co i innych. Ja również pracę porzuciłem. W roku 1942 późną jesienią i w okresie zimowym, władze okupacyjne wydały zarządzenie o przymusowej wywózce drewna budulcowego z lasów do tartaków w Długim Kącie, Krasnobrodzie, Suścu i innych miejscowościach. W miejscowości Pardysówka Duża został założony posterunek policji niemieckiej składający się z 14 osób w celu przyspieszenia wywozu drewna z lasów. Do tej pracy przyjeżdżali furmani (przewoźnicy) narodowości polskiej i ukraińskiej z okolic powiatu hrubieszowskiego i Tomaszowa Lubelskiego. Wywózka trwała kilka miesięcy, a miejscowa ludność musiała dać pomoc w wyżywieniu furmanów i koni, a także zapewnić noclegi. Dla mieszkańców wiosek, w których przebywali furmani, było to wielkim problemem. W każdej chwili mogli się spodziewać jakiejś represji ze strony wroga. Nikt się nie mógł swobodnie poruszać po swojej własnej ziemi. Podaję jeszcze jeden przypadek, który zakończył się śmiercią. Mieszkaniec Pardysówki Małej Andrzej Ustasz pojechał, według starego zwyczaju, na pastwisko do Sopotu napaść konia i tam został zastrzelony przez Niemców. Osierocił żonę i dwoje małych dzieci. W czasie akcji: Józef Kusiak „Rudy”

i Franciszek Żmuda uciekli z domu przed Niemcami i ukryli się w lesie. Znaleźli schronisko w zagajnikach za wsią. Wleźli na wysokie świerki i zamaskowali się gałęziami. Byli pewni, że wróg ich nie zobaczy i ocaleją. Podczas obławy zostali wypatrzeni przez Niemców, ponieśli śmierć przez zestrzelenie. Z wysokich drzew na ziemię spadły dwa martwe ciała.

### **Przebieg przeprowadzonych akcji dywersyjno- sabotażowych i walk zbrojnych w latach okupacji niemieckiej przez oddział AK rejonu Józefów.**

#### **Dnia z 5 na 6 grudnia 1942 r.**

Była przeprowadzona pierwsza akcja dywersyjno - sabotażowa w miejscowości Susiec na rzeczce Osiniec na linię kolejową Lublin – Lwów. Nastąpiło wysadzenie mostu kolejowego i zniszczenie urządzeń stacyjnych. W akcji brał udział pluton józefowski łącznie z Pardysówką pod dowództwem Feliksa Pardusa „Piasta”, pluton ze wsi Brzeziny pod dowództwem Czesława Mużacza „Selima”, plutony z Majdanu Nepryskiego i Długiego Kątu pod dowództwem Piotra Wasilika „Kuby”, Franciszka Mielniczka „Jeża” i Piotra Buchajskiego „Jastrzębia”. Całością kierował komendant rejonu Konrad Bartoszewski „Wir”.

#### **W nocy z dnia 17 na 18 grudnia 1942 r.**

Zorganizowana została zasadzka na transport kolejowy pod dowództwem Konrada Bartoszewskiego „Wira”. Oczekiwany transport nie nadszedł. Pojawił się tylko sam parowóz, który runął do rowu. Obaj maszyniści wyszli z tego cało. Miało to miejsce między stacjami kolejowymi Zwierzyniec – Krasnobród na wysokości leśniczówki Kruglik.

#### **Dnia 31 grudnia – 1 stycznia – noc sylwestrowa.**

Przeprowadzona została akcja pod dowództwem ppor. Stefana Krzaczkę „Grudy”. Dokonano wieży ciśnień i zdemolowano urządzenia stacji kolejowej w Krasnobrodzie.



### **Dnia 2 lutego 1943 r.**

Koncentracja oddziałów AK rejonu Józefów podległych „Wirowi” odbyła się w lasku przy wiosce Borowina późną porą wieczorową i wymarsz na Krasnobród w celu udzielenia pomocy wysiedlanej ludności Krasnobrodu. Z powodu spóźnionego przybycia naszych oddziałów do walki z Niemcami nie doszło. Zniszczono urządzenia telekomunikacyjne w urzędzie pocztowym i dokumentację w urzędzie gminnym. Następnie zarządzono odwrót do swoich miejsc zamieszkania.

### **Dzień 4 lutego 1943 r.**

W czasie przeprawy ze swoim plutonem ze wsi Pardysówka Duża do pobliskiego lasu zetknąłem się z kolumną samochodową jadącą z Józefowa w kierunku wsi Hamernia. W tym czasie zostaliśmy ostrzelani przez Niemców. Walki nie podjęliśmy z powodu przeważającej siły wroga, jak również przewidywanych represji, jakie mogły nastąpić w stosunku do mieszkańców wioski. Wycofaliśmy się w głąb lasu na drugą stronę rzeki Sopot, bez strat, dołączając do swoich oddziałów pod dowództwem „Wira”. Przygotowana tam była zasadzka na drodze z Hamerni do Borowca, ale Niemcy do lasu nie wchodzili.

### **Dnia 4 lutego 1942 r.**

Odbyła się koncentracja oddziałów podległych „Wirowi” przy Winiarczykowej Górcie w pobliżu Józefowa. Przybyły plutony ze wszystkich wiosek, a także z Aleksandrowa i Łukowej. Uszkodzono linie telefoniczne Józefów – Biłgoraj i Józefów – Zwierzyniec – Zamość. Wyczekiwany nieprzyjaciel nie pojawił się i do walki nie doszło. Po przeglądzie oddziałów kazano rozejść się do domów.

### **Dnia 4 lutego 1943 r.**

Do ciężkich walk doszło w okolicy Długiego Kątu w lesie Kalina w pobliżu Hamerni. W tych ciężkich walkach pod dowództwem Piotra Wasilika „Kuby” brały udział plutony: z Majdanu Nepryskiego pod dowództwem Franciszka Mielniczka „Jeża”, ze wsi Długi Kąt

Piotra Buchajskiego „Jastrzębia”, ze wsi Stanisławów Klemensa Kuli „Zbysza”, ze wsi Górniki Wojciecha Tytonia „Gustawa”, ze wsi Borowina Stanisława Śwista „Kruka”. Ogólne straty kompanii „Kuby” w tych walkach wynoszą 10 poległych i tyluż samo rannych. Niemieckie straty szacowano na około 25 zabitych, w tym jeden oficer i kilkunastu rannych. Uszkodzono jeden samochód pancerny, dwa ciężarowe. Tak zakończyła się walka trwająca około 3 godzin w okolicy Długiego Kątu i w lesie Kalina.

#### **Dnia z 5 na 6 stycznia 1943 r.**

Drugą akcję sabotażowo – kolejową w miejscowości Susiec przeprowadziła kompania AK rejonu józefowskiego pod dowództwem Konrada Bartoszewskiego „Zadory”. Brały w niej udział 3 plutony: Piotra Wasilika „Kuby”, Feliksa Pardusa „Piasta”, Czesława Mużacza „Wrangi”, w składzie około 90 ludzi. Zniszczono stację pomp w Suścu, most kolejowy i tartak. Niemcy nie reagowali.

#### **Dnia 5 lutego 1943 r.**

Zgodnie z rozkazem wydanym przez komendanta rejonu Józefów „Wira” odbyła się koncentracja oddziałów na Winiarczykowej Górcie. Po dotarciu wszystkich oddziałów, w przyspieszonym tempie, wyruszyliśmy z udzieleniem pomocy walczącym oddziałom w Lasowcach, na terenie powiatu zamojskiego. Po drodze napotkaliśmy na znaczne siły wroga, jak również nadjeżdżający pociąg pancerny od strony Zwierzyńca. Zostaliśmy zaatakowani przez Niemców. W tym czasie, przy obustronnej wymianie ognia, poległ nasz żołnierz z obsługi ckm Józef Pastuszek z Józefowa i furman, którego nazwiska nie pamiętam. W drodze powrotnej zemściliśmy się za los naszych ludzi i dokonaliśmy rozbrojenia posterunku niemieckiego i spaleni tartaku. Zabraliśmy pasy tartaczne w miejscowości Krupiec, stacja kolejowa Krasnobród.

### **Dnia 6 lutego 1943 r.**

Odbyła się przy Winiarczykowej Górcie koncentracja oddziałów podległych „Wirowi”. Po krótkiej naradzie odmaszerowaliśmy w kierunku wsi Tarnopola i Brzeziny. Tam dołączył do nas oddział radziecki na czele z „Miszką Tatarem”. Noclegi, a nawet kolację, otrzymaliśmy we wsi Brzeziny. Nad ranem zajęliśmy stanowiska ogniowe przy torze kolejowym i szosie prowadzącej ze Zwierzyńca do Józefowa. Naszym celem było uniemożliwienie przewidywanej akcji pacyfikacyjnej, która miała być przeprowadzona przez Niemców na wioskach w pobliżu Józefowa tj. Tarnowoli, Brzezinach i Górecku Kościelnym. Pomimo wyczekiwania przez nas na uderzenie niemieckie, do akcji tego dnia nie doszło.

### **Dnia 8 lutego 1943 r.**

Obrońca mieszkańców Józefowa przed wysiedleniem. Spędzono ludzi przez Niemców przed miejscowy kościół w celu wywiezienia do obozu. Ludność została uwolniona przez oddziały partyzanckie rejonu AK Józefów bez większych walk. Strat w ludziach nie było. Tego samego dnia zrobiono zasadzkę na niemiecką kolumnę samochodową na drodze między Pardysówką a Hamernią. Dwa samochody spalono i kilku Niemców poniosło śmierć.

### **Dnia 9 lutego 1943 r.**

Zrobiono zasadzkę pod dowództwem „Wira” u wylotu drogi z Borowca do Hamerni, w której wzięły udział kompanie „Kuby”, „Selima”, pluton „Piasta”, oddział radziecki „Miszki Tatara” i inne oddziały. Pomimo, że Niemców we wsi Hamernia było dużo, to jednak do lasu nie dali się wciągnąć i walk nie było.

### **Dnia 10 lutego 1943 r.**

Odbyło się przeczesywanie lasów przez Niemców. Do walk doszło pod Buliczówką w okolicy Osuch. Naszymi dowodził ppor. Stanisław Makuch „Kruk”. Poległ celowniczy ckm Józef Osuch „Bielak”. Po stronie niemieckiej zginęło kilkanaście osób.

### **Dnia 25 na 26 lutego 1943 r.**

Nastąpiło aresztowanie Konrada Bartoszewskiego „Wira” i Hieronima Miąca „Korsarza”. Tej samej nocy tj. 26 lutego, zostali odbici przez placówkę z Brzeziny i Józefowa pod dowództwem Czesława Mużacza „Selima”, który w tej akcji został ranny.

### **Dnia 26 lutego 1943 r.**

Aresztowano rodzinę „Wira”. Spędzono wszystkich mieszkańców Józefowa na rynek miasteczka w celu wyłapania członków organizacji podziemia. Okazało się, że nikogo nie było. Ku przestrodze pozostałych rozstrzelano publicznie na rynku rodziców i siostrę „Wira”. Niemcy zabrali też z Józefowa wszystkich mężczyzn, którzy nie zdążyli uciec do lasu i wywieźli ich do obozu w Zamościu. Młodszy trafił do obozu w Majdanku, gdzie byli bici i maltretowani w celu uzyskania zeznań. Ocalała ludność ukrywała się w lasach, a osada Józefów, jak i pobliskie wioski świeciły pustką. Po kilku dniach z powrotem powróciła do swoich domów.

### **Dnia 9 marca 1943 r.**

Wpadliśmy w zasadzkę zrobioną przez Niemców pod wsią Budzyń. W czasie starć z Niemcami został ciężko ranny „Wir”, którego odwieziono do szpitala. W pierwszej połowie kwietnia 1943 r. został aresztowany przez Niemców dowódca plutonu w Majdanie Nepryskim st. sierż. Piotr Wasilik „Kuba”. Zginął w Oświęcimiu. W drugiej połowie marca wyruszyliśmy w teren pod dowództwem „Korsarza” w sprawie aprowizacji. Nastąpiło starcie z żandarmerią niemiecką i ukraińskimi nacjonalistami w Chmielku. Zdobyczy było mało, ale wyszliśmy bez strat.

### **Dnia 16 maja 1943 r.**

Przeprowadzono akcję rozbicia posterunku niemieckiego w tartaku Długi Kąt. W akcji brali udział partyzanci z placówki Józefów i z oddziału radzieckiego. Kierował nią „Miszka Tatar”. Załoga posterunku składała się z trzech Niemców i 20 jeńców sowieckich.

Niemców zabito, a czarnych łebków (jeńców) uprowadzono do lasu. Była to już druga akcja. W drugiej połowie maja 1943 r. został zastrzelony w Józefowie gestapowiec major Lange. Akcji dokonali partyzanci z placówki AK Józefów. Z naszej strony był ciężko ranny chłopiec Władysław Kolaszyński, którego wciągnął za sobą do obory broniący się Niemiec. Chłopiec miał później amputowaną nogę.

#### **Dnia 1 czerwca 1943 r.**

Była to walka stoczona w obronie mieszkańców Józefowa prowadzona pod dowództwem por. Hieronima Mięca „Korsarza”. W czasie tej walki poległ sowiecki dowódca „Miszka Tatar”. Dwóch partyzantów z oddziału AK Józefów: Józef Kudelka z Józefowa i Andrzej Burda ze wsi Borowina odniosło ciężkie rany i wkrótce zmarło. W tym czasie został zdobyty samochód ciężarowy z zapasową bronią, amunicją, żywnością, umundurowaniem i beczką piwa. Zdobycz zabrano, a samochód spalono. Został on zdobyty przez załogę dowódcy drużyny Józefa Drożdźdźki „Radykała”. Niemcy ponieśli dotkliwe straty, byli zabici i ranni.

#### **Dnia 30 lipiec 1943 r.**

Urządzono zasadzkę pod dowództwem „Groma” koło młyna Wysockiego przy szosie Józefów – Biłgoraj na policję ukraińską z Aleksandrowa. Około godziny dziesiątej wpadł w zasadzkę patrol policji ukraińskiej jadący na dwóch wozach konnych. Nie dojeżdżając do rzeczki Szum zatrzymali się i po opuszczeniu wozów weszli na drewniany most. W tym czasie otworzyli ogień. Dwóch żandarmów zostało zabitych, czterech rannych, a reszta rozproszyła się po lesie.

#### **Dnia 1 sierpnia 1943 r.**

Do walki z Niemcami doszło w lesie Dębowce. Z naszej strony dowodził por. Hieronim Mięć „Korsarz”, który został ciężko ranny i zmarł w trakcie operacji chirurgicznej. Pochowano go razem z sowieckim dowódcą „Miszka Tatarem” w pobliżu Hamerni nad rzeką Sopot, przy pomniku postawionym przez polskich żołnierzy ze Szkoły

Podchorążych z Warszawy w 1937 r. Niemców poległo dziesięciu, a reszta wycofała się z lasu. Z naszych żołnierzy był lekko ranny ppor. Edward Błaszczak „Grom”.

### **Dzień 23 na 24 października 1943 r.**

Wieczorem w dniu 23 października 1943r. została stoczona walka o likwidację posterunku policji ukraińskiej we wsi Łukowa. W tej walce również brał czynny udział oddział rejonu AK Józefów pod dowództwem por. Edwarda Błaszczaka „Groma”. W skład tego oddziału wchodził członkowie ruchu oporu ze wsi Pardysówki Dużej i Małej, z Józefowa i z wielu innych wiosek. Posterunek policji został całkowicie zniszczony wraz z całą załogą składającą się z 20 policjantów ukraińskich i trzech żandarmów niemieckich. Po naszej stronie jedna osoba była ranna i dwóch ludzi zбитych, w tym z naszego oddziału józefowskiego poległ kpr. Józef Drożdziel „Radykał”.

### **Dnia 5 listopada 1943 r.**

Oddział AK rejonu Józefów pod dowództwem ppor. Edwarda Błaszczaka „Groma” stoczył walkę z Niemcami na stacji kolejowej Długi Kąt. W czasie tej walki poległ ppor. Zbigniew Rzewski „Fernando”, syn prezydenta miasta Łodzi. Niemcy zostali rozproszeni, a oddział „Groma” wycofał się do lasu zabierając ciało zabitego kolegi.

### **Dnia 5 października 1943 r.**

„Grom” brał udział w walce z Niemcami pod Rapami koło Biłgoraja. Żołnierze „Groma” odparli atak znacznie liczniejszego sił nieprzyjaciela i tym samym uratowali zgrupowanie oddziałów partyzanckich („Podkowy”, „Norberta”), przebywających w oczekiwaniu na planowaną na tym terenie akcję.

### **Dnia 19 grudnia 1943 r.**

Patrol w składzie 7 ludzi pod dowództwem „Groma” wykonał wspólnie z innymi grupami akcję na więzienie w Biłgoraju. Uwolniono 42 więźniów, w tym Marię Piasecką „Żar” (referenta WSK obwodu biłgorajskiego).

## **Rok 1944**

### **Dnia 9 maja 1944 r.**

Zgrupowanie oddziałów partyzanckich „Groma”, „Podkowy”, „Norberta” i partyzantki radzieckiej przeprowadziło akcję wysadzenia pociągu z amunicją i innymi materiałami wybuchowymi między stacjami kolejowymi Zwierzyniec – Krasnobród. Następnie tego samego dnia wieczorem i przez te same oddziały został rozbity pociąg z cukrem w lesie, w pobliżu stacji kolejowej Krasnobród. Część zdobytego cukru rozdzielono pomiędzy oddziały partyzanckie, a pozostałą ilość rozdano ludności okolicznych wiosek. Próbowano również zlikwidować załogę, która pilnowała mostu kolejowego przy stacji Krasnobród, ale akcja się nie powiodła. Załoga pilnująca mostu była dobrze umocniona i nie pozwoliła się wyrzucić ze swoich umocnień. Walka trwała około 2 godzin. Ofiar w ludziach nie było.

### **W dniach 28 maja – 9 czerwca 1944 r.**

Odpieranie ataków kawalerii kałmuckiej na linii rzeki Tanew. Dzięki tym walkom ocalało wiele miejscowości i setki ludności cywilnej.

## **Akcja pacyfikacyjna 1944 rok**

Już w pierwszej połowie miesiąca czerwca mówiło się o załamywaniu się niemieckiego frontu wschodniego. Niemcy za wszelką cenę postanowili oczyścić sobie zaplecze z partyzantów, żeby w razie potrzeby mieć spokojny odwrót swoich wojsk frontowych. W tym czasie, w lasach Puszczy Solskiej, znajdowały się duże zgrupowania oddziałów partyzanckich. Do walki przeciwko oddziałom partyzanckim i całkowitej ich likwidacji Niemcy sprowadzili kilka dywizji wyborowego wojska, składającego się z różnych formacji, jak: piechoty, kawalerii, artylerii, lotnictwa i czołgów. Wojska niemieckie okrążyły Puszcę Solską i okoliczne osiedla ludzkie. W dniach 23 na 24 czerwca 1944 r. rozpoczęła się walka. Oddziały piechoty niemieckiej

wspierane przez artylerię i lotnictwo napierały ze wszystkich stron na oddziały partyzanckie, znajdujące się w okrążeniu w lasach Puszczy Solskiej. W tej nierównej, bohaterskiej walce oddziały partyzanckie broniły się stawiając zacięty opór. Jednocześnie przebijały się przez umocnione linie wroga z okrążenia na jego tyły zadając mu znaczne straty. Partyzanci w czasie obławy, jak również przebijania się przez linię wroga z okrążenia, ponieśli duże straty w ludziach, a jednak nie załamali się na duchu, wierzyli w swoje hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna” i byli tej myśli, że zwyciężymy. W czasie akcji znajdowałem się po drugiej stronie rzeki Sopot w pobliżu miejscowości Maziarze. W tym czasie dołączyło do mnie kilka osób. Byli to mieszkańcy Józefowa, wsi Borowina, Szopowego i Pardysówki Dużej. Mieszkańcy wymienionych miejscowości uciekli ze swoich domów przed Niemcami szukając schronienia w lesie. Na odgłosy zbliżającej się obławy mieszkańcy ze wsi Borowina i Szopowe odłączyli się od nas i udali się stroną rzeki Sopot, szukając tam w zaroślach lepszego schronienia i tam zauważyli ich Niemcy. Wszyscy ponieśli śmierć. Pozostali wraz ze mną schronili się na czystej polanie, gdzie nie było ani jednego krzaka, tylko trochę gałęzi i budulca (wycięty drzewostan), uratowali się, gdyż to miejsce Niemcy pominęli. Szczęście zadecydowało o naszym ocaleniu.

*(opr. Maria Działo)*



## Miesiąc służby w oddziale „Groma”

(prawdopodobnie w okresie od 20.05.1944 r. do 20.06.1944 r.)

W końcu drugiej lub trzeciej dekady maja 1944 roku ppłk „Adam” oddelegował mnie i ppor. „Topolę” do oddziału „Groma”. „Topola” zwrócił się do mnie z prośbą, ażebym udał się do oddziału, a on załatwi sobie miesięczny urlop, a po jego przebyciu ja pójdę na urlop, na co ppłk „Adam” wyraził zgodę. „Groma” w oddziale nie zastałem. Być może był ranny lub na urlopie. Po przejściu oddziału meldowałem się u por. „Wara”, któremu podlegał „Grom”, ale „War” nie potraktował mnie jako podwładnego. Zostałem więc samodzielny dowódcą oddziału „Groma” i podlegałem bezpośrednio majorowi „Kalinie”, który w tym czasie kwaterował w Puszczy Solskiej. Natomiast ppłk „Adam” w tym okresie był przy oddziale „Podkowy” w rejonie między Zwierzyńcem, a Radecznicą. Moje miejsce postoju znajdowało się w rejonie Suśca, tak mi się zdaje. Rozkazy od „Kaliny” otrzymywałem od łączników „Wara”. Samego „Kaliny” nie znałem.

Oddział „Groma” uważano za trudny i podczas jego nieobecności nie byłoby wielu chętnych do dowodzenia nim. Dla mnie natomiast, a również i dla „Topoli” łatwy był kontakt z prostymi ludźmi. Trudniej mi było porozumieć się z tak zwaną inteligencją. Nie traktowano mnie w tym oddziale jak „Groma”, który był dla nich „bożkiem”. Inaczej o nim nie wspominali jak: „*Nasz Komendant*”. Jednak w dowodzeniu tym oddziałem nie miałem trudności i bardzo chętnie wspominam sobie ten okres, chociaż był bardzo krótki. Wszystkie sprawy związane z zakwaterowaniem, wyżywieniem, dopilnowaniem czystości broni itp. „stare wygi” jak szef i podoficerowie, wyprzedzali moje rozkazy. Pamiętam urywek piosenki jaką śpiewali:

*Jest tu taka grupa mówiąc między nami,  
Wszyscy się ich boją, zwą ich „bandziorami”,  
Lecz szlachetne myśli w ich sercach się kryją,  
Józefowskie dzieci dzielnie szwabów biją.  
Grom, grom, grom, Komendancie nasz grom.*

W oddziale „Groma” byli więc partyzanci z Józefowa., a oprócz nich kolejarze z wysadzonych pociągów, również z rejonu Lwowa jak „Czwartak”. Tylko ten jeden pseudonim zapamiętałem z oddziału „Groma”. Byli też z innych stron. Pamiętam, że wyjeżdżałem z dwoma lub trzema partyzantami udającymi się na urlop.

W niedługim czasie zgłosił się do mnie dowódca kolejarzy, ażeby pozwolił im na obrobienie pociągu z amunicją lub sprzętem wojennym, z którego oddział będzie mógł skorzystać. Mają kontakt z sąsiednią stacją, więc zdobędą wywiad o transporcie kolejowym, wskoczą do lokomotywy i w odpowiednim miejscu zatrzymają pociąg.

Tymczasem moi kolejarze zaopatrzyli się w magazynku w minę, chyba ze zrzutów i wysadzili pociąg w najbardziej niedogodnym miejscu. Było to chyba jedno, jedyne złe stanowisko na łuku linii kolejowej i przy polanie, z której zaatakowali pociąg. Był to pociąg z samochodami transportowymi, ciężarowymi i co gorsze, konwojowany przez oddział wojskowy. Kiedy partyzanci wyskoczyli z lasu, dostali się w silny ogień. Kilku zabitych i rannych pozostało na polanie, a reszta cofnęła się do lasu i stąd ostrzeliwała wroga. Ponieważ tor był oddalony od naszego obozu kilka lub kilkanaście kilometrów, słyszeliśmy ciągłą strzelaninę. Ruszyłem wówczas z częścią oddziału na miejsce walki. Po moim przybyciu Niemcy strzelali do naszych już tylko spod parowozu, a nie tak jak wcześniej z całego transportu. Udałem się z moją grupą kilkaset metrów przed lokomotywę, ażeby zaatakować szwabów z drugiej strony. Tymczasem zza toru dostałem silny ogień z pistoletów maszynowych oraz obrzucono nas granatami. Okazało się, że Niemcy wycofali się rowem przy torze w kierunku Zwierzyńca, czy też innej stacji, ale nazwy nie znałem. Po przybyciu do wysadzonego pociągu wysłałem patrol do pobliskiej stacji w kierunku

Bełżca, celem ubezpieczenia nas. Patrol ten puścił z dużą szybkością parowóz, który uszkodził ostatnie wagony i wypadł z torów. Dzięki temu zwiększyły się straty agresora i linia była dłużej nieczynna. Po przystąpieniu do walki patrolu pod moim dowództwem po pewnym czasie nieprzyjaciel opuścił pole walki. Czy miał straty w ludziach, nie wiem. My zabraliśmy zabitych i rannych. Rannych odesłano do lekarza, po opatrzeniu w obozie. Zabitych pochowaliśmy w lesie. Poniosłem w tym wypadzie duże straty: czterech zabitych i czterech rannych, w tym jeden ciężko ranny. Tego ciężko rannego spotkałem później w punkcie medycznym koło Radechnicy, groziła mu utrata wzroku. Z mojego patrolu, który wprowadziłem do walki zginął „Czwartak”. Był to bardzo odważny, zdyscyplinowany partyzant, a poza tym inteligentny, wesoły i przystojny. Chociaż innym zabitym, rannym, czy też pozostałym partyzantom można by również wydać podobną opinię, to jednak „Czwartak” wpadł mi w oko i zapamiętałem przez tyle lat jego pseudonim, pomimo, że pod moim dowództwem był zaledwie kilka dni.

W niedługim czasie po akcji na pociąg, otrzymałem polecenie na obsadzenie pewnego, wyznaczonego odcinka rzeki Tanwi (kilkaset metrów). Odcinek ten zaczynał się od skraju lasu położonego na południe od Tanwi. Dalej ciągnął się naprzeciw jakiejś wsi oddalonej o kilkaset metrów na południe od rzeki. Od strony północnej był pas łąk szerokości kilkuset metrów, a następnie lasy, dalej na północ duża wieś Aleksandrów. Część oddziału czuwała na wyznaczonym odcinku nad wodą, zamaskowana w zaroślach, a reszta kwaterowała na małej polanie w lesie, w opuszczonych, nowych domach pracowników leśnych. Bardzo często „Storch” (w odróżnieniu od myśliwców), jak to nazywaliśmy, wisiał nad naszymi stanowiskami. Myśliwce zaś często atakowały nasze domki. Chyba chciały je zapalić. Podczas ataków myśliwców chłopcy kryli się na podwórzu, w piwnicach, gdyż bali się bombardowania. Raz też w pobliżu, na polu myśliwiec zaatakował moich chłopców jadących na wozie. Konie poniosły, ale rannych i strat w ludziach nie miałem. We wsi, która była na naszym przedpolu znajdowali się Własowcy. Od czasu do czasu pomiędzy naszymi i ich

patrolami dochodziło do potyczek. Prawdopodobnie w tej okolicy był duży oddział Własowców. Moi chłopcy nazywali ich Kałmukami.

W końcu zjawił się również ppor. „Topola” i objął dowództwo oddziału „Groma”, a ja wyjechałem w zamojskie. „Topola” uprzedził mnie o dużych ruchach wojsk niemieckich. Gdy przejeżdżałem szosę Biłgoraj – Zwierzyniec koło Tereszpola były już tam patrole wojsk niemieckich, a w lasach ślady wielu pojazdów gąsienicowych. Podczas pacyfikacji biłgorajskiego „Groma”, „Adama” i oddział „Podkowy” spotkałem na Łyścu. Po wojnie podają, że w Puszczy Solskiej w czerwcu 1944 roku walczył oddział „Topoli”, ale tak naprawdę to on wcześniej był „Groma”. Jakiś pisarz, nazwiska nie pamiętam, wychwalał zwycięstwo oddziału z jego organizacji w Puszczy Solskiej, który przedarł się w kierunku Janowa, a zarzucał „Kalinie”, że nie dogadał się z Sowietami i nie poszedł z nimi na południe. Zapytałbym go chętnie, dlaczego jego oddział się nie dogadał i przedzierał się sam?

*(opr. Maria Działo)*



Na fotografii od lewej: ppor. Stanisław Mazur „Elski”, ppor. Adam Piotrowski „Dolina”, Felicja Sankowska „Kozak”, por. Tadeusz Kuncewicz „Podkowa”, plut. Witold Kot „Osa”



Fragment obozu oddziału „Podkowy” (II OP9) w Puszczy Solskiej. Stoją od prawej: dowódca oddziału por. Tadeusz Kuncewicz „Podkowa” i sierż. Michał Wysocki „Wit” - z-ca dowódcy.

## Relacja żołnierza AK z oddziału Edwarda Błaszczaka „Groma”



Nazywam się Stanisław Szostak, pseudonim mój „Trzynastka”. Do 1939 roku mieszkałem w Puławach z rodzicami. Ojciec był zawodowym żołnierzem 2 pułku saperów kaniowskich, a matka była gospodynią domową. Chodziłem do szkoły nr 1 im. Józefa Piłsudskiego w Puławach. W 1939 roku z szóstej klasy zdawałem do gimnazjum. Zdałem, ale później nie było możliwości uczenia się. W harcerstwie byłem od czwartej klasy, a w 1939 roku zostałem nawet zastępowym, tak że tę przysięgę już składałem „Bóg, Honor i Ojczyzna”. Atmosfera przed wybuchem wojny tak, jak ją opisują była bardzo dobra. To ciekawe, że czym gorsza bieda była, czym gorsze wypowiedzi niemieckie, to naród się jednoczył. Przecież te tampony przeciwigazowe każdy robił, okna były zaklejane. Ludzie kosztowności, pierścionki dawali na sprzęt. Wiem też, że miasto Puławy nowy ckm wykupiło. Tego by na pewno teraz nie doświadczył. Skąd się to brało? Polska na nowo powstała, świeża Ojczyzna była i naród chciał ją utrzymać i mieć Ojczyznę, bo Polskę to można mieć taką, jaki rząd, jaka partia, ale Ojczyzna jest jedna, tak jak Matka. Nasze pokolenie ją straciło, to wie, co to jest stracić Ojczyznę, tak jak Matkę. Okres przed wojną przeżyłem bez ojca, bo on będąc saperem w marcu 1939 r. wyjechał budować bunkry koło Wągrowa przy ówczesnej granicy niemieckiej. Później się przedzierał, tak że miesiąc czasu do Puław szedł, a nas podoficerskie i oficerskie rodziny załadowali w samochód



i wywozili na wschód, że wylądowaliśmy aż w Równym. Na drogę wychodziłem z bratem i mówiłem: „*Dzień dobry, panowie*”, ale lejtnant mówi: „*U nas panów niet, tawriszcze*”. No to my mówimy: „*Zdrastwuj tawriszcze*”. „*A szto wy chatitie*” pyta, to ja odpowiadam: „*Diengi na pamiatku*”. Zbieraliśmy na chleb, na cukier, bo kolejki były. Pełno ludzi było, bo wszyscy na wschód uciekali. Kto wie, czy byśmy przeżyli, ale tamtejsi Polacy wiedząc, że wojskowym wypłacali pieniądze powiedzieli nam: „*Jak macie pieniądze, to z kolejarzami pogadajcie i uciekajcie stąd, bo jak tu będziecie, to już Polski nie zobaczycie*”. No i matka z sąsiadką panią Niwińską poszły do kolejarzy zapłaciły im i do Uściługu nas dowieźli. Później Żyd nas wiozł do Bugu, ale dalej nie chciał wieźć, bo za Bugiem byli Niemcy, których Żydzi bardzo się bali. Był tam taki Rosjanin jeżdżący na koniu, to mówimy do niego: „*Tawriszcz, on wziął diengi i nie chce jechać dalej*”. To on Żyda po plecach i krzyczy: „*Masz zawieźć!*”. Dojechaliśmy do Hrubieszowa. Całe szczęście, że pani Niwińska pochodziła z Poznańskiego i dobrze znała język niemiecki, bo dzięki temu w Hrubieszowie zaopiekowali się nami Niemcy. Dostaliśmy jedzenie z kuchni i później do Zamościa samochodami pojechaliśmy, a z Zamościa pociągiem do Puław. Okupacja była niemiecka. Mieszkania nie było, bo wszystko co ojciec zapracował zrabowano. Z ojcem spotkaliśmy się przypadkowo. Zobaczyliśmy go z bratem stojącego z konserwą przy niemieckiej kuchni. Był tak zarośnięty, że w pierwszej chwili to nawet go nie poznałem, ale młodszy brat prędzej podbiegł i zawołał: „*Tatus!*”. Szliśmy z tego miejsca miastem i ojciec spotkał kolegę szwagra, takiego plutonowego Sygę, z Otwocka. „*Co pan porabia panie Szostak?*”. „*Co porabiam? Widzi pan wróciłem, rodzina też wróciła, ale nie ma mieszkania, nie ma nic*”. Kolega bardzo się ucieszył i powiedział: „*Panie Antoni, pan z nieba mi spadł. Mam na Zielonej dwupokojowe mieszkanie z umeblowaniem, z odzieżą, ze wszystkim. Proszę ma pan klucze*”. To nas uratowało. Może byśmy tam dłużej byli, ale zaczęły się aresztowania i wywożenia na Zamek i do wieży w Kazimierzu. Wtedy ojciec obrał kierunek Zamojszczyzny, do brata. Najpierw ja z ojcem pojechałem pociągiem. No i faktycznie tam się wydawało, że wojnę będzie można przeżyć.

Lasy, i puszcze były, ale Niemcy ją tak wyharatali na baraki, że się rzadka puszcza zrobiła, ale mniejsza z tym. Lasy, do kolei 15 kilometrów, do miasta powiatowego 30 kilometrów. Warunki materialne się pogorszyły, ale ojciec znalazł pracę jako gajowy, to kartki dostawał, a ja pracowałem normalnie u stryjka na gospodarstwie. Z początku gęsi pasłem, sto gęsi, później krowy, później przecież już kosami kosili i trzeba było podbierać i te roboty rolnicze już robiłem. Wtedy zarabiałem na to jedzenie. Ciężko było, bo to tam Niemcy co jakiś czas przeprowadzali akcje. Wyłapywali ludzi to na Zamek, to na Majdanek. Jedni byli wywożeni, drudzy zostawali na wsi, inni w lesie, tak że te rodziny rozbite były, ale jakoś się trzymali, nie poddawali się do końca. Wierzyli, że Zachód pomoże, że w końcu nadejdzie jakiś ratunek. Wiara jednak trzymała na duchu, to trzeba przyznać. Jak byłem tam na Uralu, to gdyby nie ta wiara, to by się człowiek załamał, ale to podtrzymywało. Byłem kontaktowym miejscowej placówki z placówką leśną, meldunki prznosiłem. Zawsze dużo ustnych, mało na piśmie. W podeszwy do butów meldunek się wkładało, bo nieraz policja niemiecka, czy żandarmeria sprawdzała. Kiedy ich spotykałem to obmacywali i jak nic nie znaleźli to kazali iść dalej. Chodziłem po wioskach po amunicję do pistoletów, lornetki, różne akcesoria i prznosiłem to. Takie było moje zadanie, a przez rok czasu jak już się wciągnąłem w tę pracę konspiracyjną, to zaczęto mnie przygotowywać do przysięgi. Pamiętam, że pięciu nas zdawało. Buczek Ludwik, zawodowy plutonowy był od młodzieży i on przyjmował przysięgę. Po złożeniu przysięgi podchodził do każdego, podawał rękę mówił: „Cześć kolego!”. Byłem bardzo zmieszany takim spoufalaniem, bo gość był już żonaty i miał dzieci. Miałem opory i mówię: „*Panie Ludwiku, ja tak nie mogę*”, a on na to: „*Nie sprzeczasz się ze mną, przysięgę złożyłeś i jesteś taki sam jak ja, czy ja zawodowy, czy ty świeżo upieczony*”. No i wtedy się uspokoiłem. Wtedy już przeszedłem do oddziału. To był 1942 rok. Jasio Buczek „Dąbek” był erkaemistą, a ja amunicyjnym. Podawałem amunicję, bo był jeszcze trzeci, który ładował. Nad rzeką Tanwią okopali się Kałmucy i tam była moja pierwsza akcja. Nasz dowódca Edward Błaszczak „Grom” lubił chodzić i przechodził koło mojego



stanowiska, a ja trzęsłem się z wrażenia, a on od razu do mnie podszedł i mówi: *„Ja wiem, że to pierwsze kroki, że człowiek uważa się za odważnego, ale jest strzelanina to się gęsia skórka pojawia, ale weź to pod uwagę, że oni nas się też boją”*. Prowadziliśmy ze swoich stanowisk wymianę ognia z Własowcami, którzy nie byli regularnym wojskiem. To była najsłabsza armia, bo Niemcy to co innego. Nasza placówka miała za zadanie prowadzić wywiad, szpicłów wylapywać, utrzymywać kontakty i przekazywać rozkazy. Telefonicznie przecież tego nie można było zrobić. Były momenty, że jak Niemcy wysiedlali, to zostawała sama kobieta i wtedy złodzieje, pospoliccy bandyci napadali zabierając ostatnią krowę, konia. Były wypadki, że ludzie donosili i „Grom” z wybranymi ludźmi jechał, wylapywał i w imieniu Polski Podziemnej załatwiał takich bandziorów. Placówki miały też za zadanie obserwować obcych, którzy pojawiali się w terenie i przysyłać meldunek dalej. Przychodzili różni handlarze np. za lnem lub konopiami i takich, którzy byli podejrzani wylapywano. Dowództwo miało zdjęcia tych szpicłów i pytali się pokazując fotografie: *„Ten?”*. Jak otrzymali odpowiedź potwierdzającą, to padał rozkaz: *„Proszę jechać, zabierać go i na placówkę”*, tak, że Niemcy mieli kłopot z tym. Dużo szpicli ginęło. W Gminie Łukowa panował tyfus i przyjechała z Biłgoraja ekipa z Czerwonego Krzyża, a z nimi wkręcił się szpicel. Pojechaliliśmy z erkaemistą „Jastrzębiem” z Józefowa, który zawsze lubił sobie popić bimbru, do Łukowej, żeby dostarczyć mąkę i odebrać chleb, który tam dla nas pieczono. Powoziłem ja, gdyż bardzo lubiłem jeździć zaprzęgiem. Podczas jazdy zauważyłem, że ktoś przeskakuje po przełazkach i nas obserwuje. Powiedziałem o swoich podejrzaniach „Jastrzębiowi”. Zajechaliśmy do Kraczka nazywanego Agronomem, a ten „obserwator” już tam jest. Siedzi w butach oficerkach, elegancki i zaczyna rozmowę: *„Ja z partyzantami nieraz się spotykałem”*. Natomiast uprzedzony przeze mnie „Jastrząb” wyjął pistolet dziewiątkę polską i mówi: *„Tym pistoletem już trzech rozwalilem. Mnie się zdaje, że czwarty też będzie rozwalony”*. Szpicel nie dał po sobie nic poznać, że rozumiał. Następnie pojechaliliśmy do aptekarza, a tam dowództwo było. „Jastrząb” melduje, żeśmy tego co nas obserwował widzieli. Rozpoznaliśmy go na

pokazanym nam zdjęciu. Okazało się, że to był Stopa z Biłgoraja, który wcześniej służył z moim ojcem w Puławach. My z chlebem pojechaliśmy z powrotem, a nim zajęła się druga ekipa i sprowadziła na placówkę. Na placówce Stopa spotyka mojego ojca i mówi: „*Panie Szostak pan tu?*” Ojciec mu odpowiedział: „*Byłem tam, a teraz jestem tu, a pan co?*” On zaczął się żalić: „*A to żona taka k....a z gestapowcem się zadaje i mnie wciągnęła*”. Na przesłuchaniu zeznał, że za każdy łepiek Polaka dostawał 1000 złotych, litr spirytusu i różne materiały. Za zdradę Ojczyzny skazano go na śmierć. W oczekiwaniu na egzekucję kazano mu stanąć na położonych drzwiach, a on tylko poprosił: „*Chłopcy tylko dobrze strzelać*”. „*Nie martw się łupniem, że nawet nie drygniesz*”. Po odczytaniu wyroku tuż przed rozstrzelaniem jeszcze się wziął na siłę i „*Jeszcze Polska*” zanucił. Drugiego takiego rudego szpicla przetrzymywaliśmy na placówce. Wartę przy nim pełnił młody chłopak, sierota, przyjęty do pomocy do kuchni, a ten cwany był skłamał, że pić mu się chce i uciekł. Było wiadomo, że jak zagrożenie jest to trzy strzały w górę idą. Jak tylko padły trzy strzały to „*Błyskawica*” z lewej strony tra ta ta ta, Ruscy z prawej tra ta ta ta, a jeszcze dalej z lewej „*Burza*” tra ta ta. Wtedy ten głupi rudzielec znowu wrócił do obozowiska. Do odważnych się zaliczałem, ale nie mogłem patrzeć co z nim robili. „*To ty chciałeś uciec, dostałeś jedzenie, picie traktowaliśmy cię jak człowieka*”. W oddziale latem było nas więcej, a zimą porą mniej. Normalnie oddział liczył 50 osób, a na zimę zostawało w lesie około 25 partyzantów. Zimy w 1943 i 1944 roku były bardzo mroźne, a śniegu to równo z płotami było. Wtedy byłem w lesie, bo się pytali kto może. Nie wyznaczali, nie mówili, że ty, tylko raczej ochotniczo. Na zimę mieliśmy wybudowany barak z żelaznym piecykiem w środku. Różno się i rąbało drzewo, paliło w tym piecyku i ciepło było tak, że można było chodzić w bieliźnie. Stała kuchnia i szałas dla koni, bo konie i furmankę też żeśmy mieli, aby można było coś dowieźć. Z początku jak jeszcze ludność polska była na wioskach, to dowódca wybierał ludzi i jechali na wieś, czy do gminy, albo do wójta, a wójt wtedy zwracał się do sołtysów, że potrzebujemy dwie świny albo jałówkę. Sołtys szedł na wieś i mówił: „*Partyzanci chcą dwie sztuki świń, a resztę to wiecie co robić*” i przy tej

okazji na konto partyzantów dodatkowo zabijali świnie dla siebie i rąbanki szły na Lublin, na Warszawę. Później jak już przeprowadzono pacyfikację i wysiedlili naszą ludność dostęp do żywności był utrudniony. Ukraińcy byli uzbrojeni, to już było trudno coś zdobyć i trzeba było wtedy robić kierunek na Lienschafty na powiat zamojski, tam na te kolonie niemieckie. Tak, że różnie było, raz można było się najeść, a raz się chodziło i zbierało jagody i wody ze strumyka się napiło. Głód był. Z początku nie było tak źle, ale tak jak nadmieniałem, jak później te pacyfikacje były i Ukraińców nasiedlili, to już wtedy było trudno i dlatego na zimę te oddziały się zmniejszały nie to, że się bali, że amunicji było mało. Z amunicją to nie kłopot, zawsze można było zdobyć. Pod tym względem nie było źle, ale z żywnością to było gorzej. Zamojszczyzna to pas lessowej ziemi, to tam tylko pszenica i buraki. Niemcy tutaj chcieli te kolonie założyć, ale w końcu to się nie udało. Druga rzecz, że z początku to nawet na wioskach kobiety w tych dzieżkach miesiły i piekły chleby razowe. Siedem chlebów dwukilowych na cały tydzień i jak w sobotę był siódmy chleb, to jak się wzięło, to taki był, jakby wczoraj upieczony. Tak wyrobiony był, że ładnie wyrósł. Jak chleb był, to do chleba zazwyczaj zupy serwowano. Na święto, czy niedzielę to tam kucharz drugie danie jakoś kombinował. Jednak na ogół to nie za wesoło było i dowództwo się obawiało, że może być załamanie, bo to jednak dużo ludzi młodych było, co tak jak ja, dopiero przysięgę składało. Takiemu młodemu się zdawało, że on jest bohater i nie boi się niczego, ale jak nie było co zjeść, to różne myśli chodziły po głowie. Na szczęście wojskowa dyscyplina utrzymywała w ryzach. Byli tacy, co nie chcieli zostać w oddziale, to ich nie zatrzymywano. Niemcy stworzyli samowwancy oddział partyzancki z ludzi ze Śląska i z Poznańskiego, co znali język polski i oni swoją działalność obrócili na wioski pod lasem. Na Osuchach byli też, ale to już ludzie byli przekonani, żeby z obcymi nie rozmawiać, a tego oddziału co przychodził nie znali, więc go ignorowali. Ludzie z tego podszywanego oddziału byli ubrani po cywilnemu jak partyzanci. Uzbrojeni byli mniej więcej w podobną broń tak, że ktoś niezorientowany mógł się nabrać. Oni zawsze zjawiali się na wieczór. W dzień nie działali, tylko

na wieczór. Wtedy pytali się, czy ktoś ma broń, za rkm płacimy 2000, za karabin 500, ale tak jak nadmieniałem ludzie byli uprzedzeni, wiedzieli i nie dali się nabrać tak jak w Sochach. Tam sołtys sprzedał im erkaem, sam przez to zginął i cała wieś została spalona. Ci, co się nie schowali do schronu to zginęli, taki był efekt działalności. Szarajówka to inna historia. Było takie miasteczko Tarnogród i tam Niemcy z Ukraińcami gospodarzyli. Sowiecka partyzantka robiła wypady na niemieckie sklepy w Tarnogrodzie, a w powrotnej drodze zaglądała też do Szarajówki. Na te wioski ukraińskie też chodzili. O wizytach Sowieców w Szarajówce dowiedzieli się Niemcy, więc przyszli i spalili tę osadę. Wszystkich mieszkańców, kobiety, dzieci do stodoły zamknęli, benzyną oblali i podpalili. Powszechnie się wówczas mówiło, że na kilometr, a nawet dwa kilometry było słychać płacz i krzyk żywcem palonych ludzi. Najsilniejsze ugrupowanie Ukraińców było w Zamościu, później na południu: Tarnogród, Księżpól, Łukowa, Tomaszów Lubelski, Hrubieszów. Siedzibą policji ukraińskiej w Łukowej był murowany budynek dawnego urzędu gminy. Zamurowali w nim okna zostawiając tylko wąskie szczeliny jak na strzelnicy. Drzwi też były zamurowane i dodatkowo obite blachą. To była prawdziwa twierdza. Można było strzelać, a od cegły odbijały się tylko iskry i ogień. Mój ojciec, jak wcześniej wspomniałem, był gajowym, a w konspiracji trudnił się wywiadem. Taką rolę pełnili w większości wszyscy pracownicy służby leśnej. Nadleśniczy mieszkał w Łukowej i ojciec nosił mu meldunki raz o drzewostanie, o lesie, a drugi raz o wywiadzie. Jednego razu szedł do nadleśniczego i zatrzymali go Ukraińcy zwracając się do niego: „*Dzień dobry panie lesawoj, proszę do nas w gości*”. Powiesili ojca za nogi do góry i tłukli tak, że jak później go wypuścili, to po powrocie do domu był cały siny. Matka miała denaturat i tym denaturatem smarowała obrażenia, a ojciec tylko leżał. Nie wiem jak on wytrzymał ten ból. Dwunasta godzina w nocy, a tu do okna pukają, więc pytam się: „*Kto tam?*”. Pada odpowiedź: „*Swoi*”. Tak to każdy mógł powiedzieć, a może być Ukrainiec, albo Niemiec. W końcu słyszę: „*Grom*”. No to trzeba było mówić od razu. Drzwi otworzyłem, wszedł, przywitał się i zwrócił się do ojca: „*Panie Antoni podobno pan w gościach był*”,

a ojciec na to: „*No tak. Nawet nieźle mnie przyjęli*”. „Grom” rozkazał: „*Ubieraj się pan, jedziemy*”. Matka zaczęła protestować, żeby nie zabierali chorego, a „Grom” na to: „*Co pani pomoże mężowi tym denaturatem. A my mamy lekarzy. Wyleczą*.” Nie mówił przy żonie, że ojciec ma jakieś zadanie do wykonania tylko obiecał, że jak będzie chciał to wróci, bo przecież ma tutaj pracę. Ojciec wyszedł do sadku, gdzie pod ulami trzymał mydełka i spłonki. Zabrał to wszystko i poszli. Te mydełka to materiał wybuchowy. Przez okres leczenia zrobił dwie paczki z ładunkiem wybuchowym. Odgrażał się: „*Oni mnie ugościli, to ja im przesyłam w gości dwie paczki*”. Okazało się, że te paczki pomogły, bo dzięki nim zamurowane, frontowe drzwi zostały rozbite i weszli do środka z butelkami z benzyną. Oblegani nie poddawali się do końca. Wśród nich było dwóch Niemców, a wszystkich w sumie siedemnastu i wójt ze szklanym okiem. Nie poddawali się. No to wtedy te dwie paczki poszły w ruch. Pocisk stu pięćdziesiątka podłączony i na zewnątrz podpalony rąbnął potężnie. Wybuch był tak silny, że zamurowane drzwi wyleciały w powietrze i tylko było słycać „*Mein Gott!*” i „*Hospodi pamiłuj!*” i koniec. Za jakiś czas cztery samochody Niemców przyjechało. Ukraińcy mówili: „*To te Polaki, Lachy w dzień robią w polu a w nocy wyciągają z między broń*.” Niemiec puka się w czoło mówi: „*To chłop? Alles Banditen, partyzant zrobił a nie chłop*”. Niemcy pokręcili się trochę i pojechali. Wtedy partyzanci poszli po wiosce i mówili do nasiedlonych Ukraińców: „*Na drugą noc w wieczór jak przyjdziemy, to żeby was już tu nie było, bo jak będziecie, to będziemy strzelać*”. Nazajutrz Ukraińcy uciekali, ale zabierali krowy, konie, świnie i cały dobytek. Polacy dali znać do „Groma”. Nasi mieli z różnych potyczek niemieckie mundury, założyli je szybko, stworzyli oddział i furmankami na skrót popędzili do tzw. Galicji. Tam stanęli i czekają. Patrzą jadą Ukraińcy z łupem. Wyszli na drogę i wołają: „*Halt! Halt! Skąd wy?*”. Ukraińcy odpowiedzieli, że z Łukowej. Na pytanie co się stało poskarżyli się: „*Lachy riezajut panie, ubili naszych*”. Nasi pytają: „*A te konie, krowy to wasze?*” Gdy Ukraińcy zaprzeczyli przebrani za Niemców partyzanci wydali im rozkaz: „*Złazić z furmanek*”. Całe zrabowane mienie wróciło z powrotem. Pamiętam jak ryczała

krowa, bo bardzo nabrało jej wymię, gdyż długo była nie dojona. Chcąc jej ulżyć doilem bezpośrednio w trawę i takie dobre mleko się zmarnowało. Najpierw to oni śpiewali w tym posterunku: „*Pijdemo chłopcy morwa i sława za Wikrainu zbudujem prawa*” i wygrażali Polakom: „*My tu zdzierałem Ukrainu, musim rieżać Polakow, tak kak za Bugom i w Karpatach*”. Teraz ci „gieroje” musieli uciekać i tak ta akcja z Ukraińcami się zakończyła.

Niektórzy lekarze, co nie mogli się już utrzymać w szpitalu, to byli w lesie na placówkach m.in. chirurdzy. Dyrektorem szpitala w Biłgoraju był lwowiak z pochodzenia Stanisław Pojasek, który należał do naszej organizacji i niejednokrotnie z poświęceniem ratował życie i zdrowie partyzantów. Pamiętam jak „Wir” dostał groźny postrzał w nogę i na placówce w lesie powiedzieli, że nie dadzą rady zrobić operacji, to załadowano go na furmankę i zawieziono do Biłgoraja. Podjechali od tyłu szpitala pod okno, a tam już na niego czekali wtajemniczeni pracownicy szpitala. Po korytarzu kręcili się gestapowcy, a doktor Pojasek przeprowadzał operację.

Z początku często się nie spotykałem z oddziałem, bo to było z 15 – 17 kilometrów od mojego miejsca zamieszkania. Później jak „Grom” się przeniósł spod Józefowa bliżej Osuch to te kontakty były już częstsze. Z obozu leśnego „Groma” do Osuch było jakieś 3,5 km. Zresztą ojciec przychodził na placówkę i jako saper przeprowadzał szkolenia w zakresie minerki, uczył jak strzelać (szczerbinka, mucha, opór). Przestrzegał nas, że przy czyszczeniu broni lufa ma być skierowana do góry albo do ziemi, bo broń nieraz sama strzela. Zdarzały się takie przypadki, że stopy sobie przestreliwali podczas konserwacji broni. W czerwcowej akcji 1944r. było wiele ofiar. Niemieckie pisma podawały, że pod Osuchami brało udział trzy dywizje niemieckiego wojska, Własowcy, kompania SS i artyleria. Z ojcem i z kolegami braliśmy udział w walkach, a matka i brat zostali w świeżo wybudowanym schronie. Niemcy rozpoznawali te świeże schrony, bo z psami szukali. Ze starych schronów to żadnego nie znaleźli. Wtedy matka i brat zginęli. Później jak wróciłem z ojcem na gospodarstwo, to zastaliśmy tam 51 zamordowanych osób, dzieci,

kobiety, mężczyźni. Leżeli spaleni pod stodołą. „Poznaniak” miał tam siostrę z dzieckiem. Wykopaliśmy duży, głęboki dół i składaliśmy do niego szczątki pomordowanych. Nosiliśmy te ciała na drzwiach od młockarni. „Poznaniak” wziął pustą butelkę półlitrowkę, kawałek papieru i ołówek. Zapisywałem jakieś dostrzegalne znaki szczególnie np. włosy, fragmenty odzieży itp. Kartkę włożyliśmy do butelki, którą zatkaliśmy korkiem z drzewa i zakopaliśmy razem z ofiarami. Przy ekshumacji mnie nie było, bo wtedy byłem już tam na tych białych niedźwiedziach. Akcją „Wicher” była objęta cała Lubelszczyzna, ale najwięcej zwrócona została przeciwko powiatowi Biłgoraj. Zaczęła się 21 czerwca i trwała do 26 czerwca. Przed planowaną polską akcją „Burza” major „Kalina” zwiększył oddziały ogłaszając mobilizację i ci, co byli w domach poszli do lasu. Przez to zginęło więcej ludzi. Nasz oddział został rozdzielony, bo „Grom” z połową oddziału poszedł na zgrupowanie 9 pułku, którego dowódcą był major „Adam”, a tutaj w Puszczy Solskiej kierował nami ojciec. Z naszego plutonu nikt nie zginął dzięki Bogu. Nie wiem, czy mieliśmy szczęście, czy też o naszym ocaleniu zadecydowało to, że ludzie byli już obcy ze strzelaniną i wiedzieli jak się zachować, a to dużo znaczy. Dużo ludzi zginęło. Prawie trzysta osób spoczywa na cmentarzu w Osuchach. Jak wybuchło Powstanie Warszawskie to wyruszyliśmy na pomoc stolicy. Doszliśmy do Lublina, a lubliniaki mówią: *„Wracajcie, nie dojdziecie do Warszawy. NKWD wyłapuje i wywozi”*. No to żeśmy wrócili. Dowódca powiedział, że skoro nie doszliśmy do Warszawy to rozwiązujemy oddział i zdajemy broń, a my mówimy: *„Oddział możemy rozwiązać, ale broni nie oddamy, bo nam się jeszcze może przydać”* no i tak się skończyło. Gorszą część broni przekazywaliśmy do milicji, a lepszą zakopywaliśmy. Ja też zakopałem, ale później nie mogłem znaleźć. Zresztą po tylu latach to nie dziwne. Dwudziestego grudnia 1944 r. szykowaliśmy się z ojcem do spędzenia świąt w swoim mieszkaniu, ale niestety okazało się to niemożliwe. Niespodziewanie pojawiło się pełno enkawudzistów, ubowców i milicjantów z psami, którzy nas obskoczyli. Ojciec zwrócił się do nich po rosyjsku, bo dobrze znał ten język jeszcze ze szkoły. Rosjanie byli ogromnie zaskoczeni jego poprawnym akcentem.



„Sztó ty za adin oficer, czy kto?” Ojciec zapytał: „Gdzie nas zabieracie?”, a oni na to: „Budietie sieno grudzić”. Oni wtedy zbierali z łąk siano, przewozili do gminy Łukowa i tam składali, bo tych koni mieli dużo i potrzebna była dla nich pasza. Obława ta szła przez wioskę i jeszcze paru z Osuch wyłapali. Zatrzymali też paru z Józefowa. Dotarliśmy do Chmielka do takiej starej chałupy pełnej słomy i w tej słomie żeśmy siedzieli. Przez dzień dawali nam spokój, a jak tylko zapadał wieczór zabierali kolejno do stojącego obok drewnianego domku z okiennicami. Jako pierwszy zostałem wywołany tam do nich na przesłuchanie. Wchodzę do izby, w której stał stół a za stołem widzę ukraińską, kwadratową gębę. Obok izby był alkierz, gdzie siedziało jeszcze dwóch pomocników, gdyż przesłuchujący nigdy nie był sam. Zaczęło się śledztwo. Padają pytania: „Młody jesteś jeszcze, powiedz, gdzie „Wir”, gdzie „Grom”, gdzie aróże, gdzie puszki?” Odpowiedziałem, że była akcja i Niemcy rozbili oddziały, pozbiali wszystko i ja nic nie wiem. „A sukin syn taki młody, a nie chce powiedzieć prawdy”. Jak wchodziłem to nie zauważyłem, że w jednym rogu maglownica do maglowania stoi, a w drugim tłuczek do ubijania. Enkawudzista wziął tę maglownicę i tak mnie stuknął w kark, że z krzesła spadłem na podłogę. Tych dwóch wyskoczyło z wiadrem z wodą i drwią: „Sztó ty zabalieł?”, a ten „kwadratowy” mówi: „Kanwajent zaboraj te swołocz polske”. Taki był mój pierwszy kontakt z NKWD i bezpieką. Jak tylko wróciłem do aresztu koledzy zaczęli wypytywać jak się ubierać. Powiedziałem im: „Możecie się ubierać jak chcecie, a załatwiają tak, jak króliki albo zające, bo walą w kark albo za uszy”. Później prowadzili nas do powiatowego miasta. Piętnaście kilometrów szliśmy pieszo, a później furmanki zorganizowali i dowieźli nas do Biłgoraja. Najpierw zajęło się nami NKWD. Ich siedzibę otaczało duże podwórko a na nim stał pień, na który enkawudziści kazali się każdemu z nas położyć no i tam odliczali swoje. Później przebierkę zrobili i na UB przekazują, ale ubek Słowik odmawia przyjęcia więźniów i stwierdził: „To nie są nasi ludzie” a Rusek na to: „Nie są wasze, no to raschaditie sie ludzi”. Jak usłyszeliśmy „Raschaditie sie”, to zaczęliśmy się rozglądać, gdzie tu się schować. Jak byśmy w zabudowania wpadli, to guzik by nam zrobili. Tam ludzie już



by nam pomogli, ale niestety zabrali nas do UB. Na śledztwo brali na górę, gdzie był taki obity pokoik i tam trzeba się było kłaść na podłodze. Jeden ubek stawał na jedną rękę, drugi na drugą i na krzyż, a dwóch innych biło w pięty, a później na koniec jeszcze obcęgami paznokcie wyrywali. Wyło się, wyło, bo człowiek nie wytrzymał z bólu, ale nic się nie dowiedzieli. Na dole w piwnicy takie pomieszczenie było, że tylko się weszło na stojąco, a tam z góry woda kapła kropla po kropli. Na koniec pojawili się pułkownicy NKWD w białych kozuchach. Wcześniej już współwięźniowie mówili nam, że jak się pojawią pułkownicy to będziemy wywiezieni. Sortowali nas jednych na lewo, drugich na prawo. Ojciec tak był zbity, że Rusczy nie chcieli go wziąć. Ten Słowik przedstawiał go jako herszta i wypychał do transportu, ale ten pułkownik powiedział, że oni potrzebują zdrowych ludzi do roboty, a „starik” w drodze umrze i jeszcze będzie z nim kłopot. Nawet nie miałem czasu się pożegnać, bo od razu załadowano mnie na samochód. Siadaliśmy po obu stronach burt, a na końcu dwóch Rusków z pepeszami i kierunek Lublin. Z tego co wiem, to transport liczył 1500 ludzi, który później tam na miejscu zostali podzieleni na dwa lagry. Myśmy trafili do lagru po Finach. Rusczy mówili, że tylko Finowie i Polacy wytrzymali w tamtych warunkach. Okres zimowy trwał tam 9 miesięcy, a mróz wynosił „sorok - sorok piat”. Do Uralu było 40 kilometrów. Mołotow, powiat Kiziel, miejscowość Połownika, czetwiorta szachta. Pracowaliśmy w kopalni węgla sięgającej 600 metrów w głąb. Kopalnia składała się z dwóch poziomów, jeden liczył trzysta, drugi 600 metrów głębokości. Z początku po 12 godzin żeśmy robili, a później już po 8. Mieliśmy jechać windą, ale jak to u Rusków, winda się zepsuła no i po schodach kazali iść. Koło mnie szedł Rusek i Ukrainiec. Koledzy zaczęli śpiewać: „*Serdeczna Matko opiekunko ludzi*”, a Rusek do Ukrainca: „*Co tak Polaki piejut?*” To Ukrainiec mówi: „*Do Boga modlut się*”. Rusek na to: „*Szto ani zdurieli, ten Boh i tak daleko i nie słyszy*”. Spojrzeliśmy jeden na drugiego i pomyśleliśmy, że chyba zmierzamy do piekła. Z lagru do kopalni prowadzili nas pod bronią i straszili, że krok w lewo albo w prawo od kolumny, to będą strzelać. Więźniowie sowieccy mówili, żeby ich się

nie bać, a my powiedzieliśmy: „*Jak się nie bać, przecież oni mają karabiny.*” Na to oni: „*Zobaczcie jakie mają karabiny, zbieranina, i amunicji nie mają do tych karabinów a tak straszą, że będą strzelać.*” Faktycznie tak było. W Lisogonach w tej kopalni, pracowałem przy stemplowaniu. Byli tam też Ukraińcy, którzy nam dokuczali i do bicia się brali. Po pracy NKWD jeszcze nas brało do noszenia węgla na opał dla nich. Takie nosidła były drewniane i na te nosidła nakładało się zależnie od wielkości dwie lub trzy bryły węgla i 5 km musieliśmy targać to do NKWD. Uległem nieszczęśliwemu wypadkowi na kopalni. Przysłużył mi się enkawudzista obok którego przechodziłem jako ostatni. Popchnął mnie i noga wpadła w te tłoki co idą od parowozu. Chyba by mnie wciągnęło całego, ale koledzy podskoczyli, wyciągnęli mnie i tylko stopa była ucięta. Wtedy wszyscy Polacy alarm zrobili w lagrze. Pociąg towarowy zatrzymali i od razu amputacja była. To mnie uratowało, bo jak przedtem kolega spadł i miał złamanie między kolanem a pachwiną to nie miał tak szybkiej pomocy jak ja. Przywieźli go do lagru, rzucili na korytarzu i gangrena się wdała. No jak już gangrena to koniec. Ten kolega miał zaledwie dwadzieścia parę lat. Zostawił żonę i dziecko. Stachanowcy normy robili i przez te ich normy wypadki były. W kopalni pracował Rusek, który nazywał się Szostakow, ale on zachorował, a ja u nich też się nazywałem Stanisławowicz Antonowicz Szostakow. Spędzili nas na plac, gdzie enkawudzista wywołuje tych, którzy wykonali normę i w nagrodę rozdziela suchy pajok tzn. amerykańską konserwę i woreczek kriczki. Wywołuje Szostakowa, a tu nikt się nie zgłasza. Chłopaki mówią: „*To ciebie wywołuje.*” Zaprotestowałem: „*Jak wywołuje, ja się nazywam Stanisław Szostak, a to Antonowicz Stanisławowicz Szostakow.*” Koledzy przekonywali: „*Ale to ty jesteś tylko po rusku*” i w końcu wystąpiłem. Enkawudzista podleciał i krzyczy: „*Szto ty głuchoj?*” Potem wręczył mi w nagrodę tuszonkę. Z jednym kolegą z Biłgoraja (zapomniałem jego nazwisko), który nie palił to zamieniłem na kriczkę. Polacy też tę normę wykonywali, to dawali śledzia (czasami tylko głowa i ogon) i dwa gramy sała. To co robiliśmy? Nitkę wiązaliśmy, żeby nie od razu zjeść i tak wpuszczali go gardła i wyciągali. Ale ktoś dowcipny był

i zażartował: „*Ale tobie idzie*” i połknąłem. „*A by cię diabli, no i co żeś narobił*”. „*Po co masz męczyć*” powiedział. Chleb piekli tam na parze, był jak glina i dwadzieścia gram tego chleba wyglądało tak jak kostka. Raz powiedziałem sobie, że nie zjem, zostawię na później. Położyłem ten chleb za drewniany zagłówek mojej pryczy. Oj męczyłem się długo i pocilem przewracając się na jeden bok i na drugi, aż w końcu sięgnąłem, zjadłem i dopiero mogłem zasnąć. Takie było to nasze obozowe życie. Przy życiu trzymała nas wiara. Ruscy mogli tam się nabijać, śmiać się, ale oni też się później przekonali. Był taki Rusek, który pracował tam gdzie ja z zapalszczykiem. Rusek wiercił w węglu i jak wiercił to kłął po rusku tak, że bluźnił przeciw Bogu, a my mówiliśmy sobie: „*Czy widzisz Boże? Jak tu Swego miłosierdzia nie okażesz, to my się chyba odwrócimy od Ciebie*” i bryła się oderwała i Ruskowi łeb rozwalila na pół. Dwa tygodnie go nie było. Po dwóch tygodniach wrócił. Kłął ale przeciw Bogu już nie bluźnił. A widzisz kacapie jednak pomogło. Nawet złodziei UB zamykało. Jeden taki z Tarnogrodu okradał nas nawet w lagrze i z Ruskami prowadził handel. Kradł buty z cholewkami. U nich przyszew mogła być skórzana, ale cholewa już parciana była. Tę parcianą cholewę pastą smarowali na czarno, a później połysk robili i oficerki mieli. Chłopaki tego złodzieja wymacali i na tym placu, żeby nie ta straż i ten naczalnik, którzy go odratowali, skończyłby marnie. Raz zapytałem się zapalszczyka: „*Dlaczego ty towarzyszc dasz mnie zakuric choć ja młody jestem*”. Wtedy zapalszczyk opowiedział mi o swoim życiu: „*Byłem w Polsce i u kitajców byłem, bo kiedyś jak wojna była to parę lat trwała. Szło się młodym, a wracało się z wąsami. Mój ojciec był kułak i wiedział ile tej ziemi miał. Ojca rokułaczyli i pomarł, a ja w tym lagrze byłem*”. Zapytałem ile lat dostał. Powiedział, że 10 lat. Taka już u nich norma była. Spaliliśmy na drewnianych pryczach. W baraku były duże, blaszane piece, ale węgiel musieliśmy przynieść sami, bo oni nie dostarczyli węgla. Po pracy każdy brał kawałek węgla, rozpalaliśmy w piecu i wtedy w białiznie żeśmy mogli być w tych barakach. Jak nas tam golili, myli bez ubrania w tym kiżlu to spytałem się Ruska ile jest stopni i jak odpowiedział: „*Sorok - sorok piat*” to czułem, że włosy mi dęba stają,

a przecież przed chwilą mnie zgolili. U nas temperatura minus 20 – 25 i wiatr to było zimno, a tam nie. Klimat śródlądowy i tam nie ma wiatru, bo jeszcze jakby wiatr był tak jak w Polsce, to ucha nie ma, nosa nie ma. Finowie i Polacy to wytrzymywali, a Niemczaki, Francuzi, Włosi i Węgrzy marzli, odmrażali ręce i stopy. Co nas najgorzej bolało, że żywili Szwabów i w barakach ich trzymali, a nas traktowali gorzej od nich.

Miesiąc czasu żeśmy jechali z powrotem. Najpierw dojechaliśmy do Brześcia. Przez drogę karmili nas słonymi śledziami. Pod wagon podchodzili i pytali: „*Chocicie sielotki?*” Odpowiadaliśmy: „*Nie chcemy, idźcie i weźcie sobie te sielotki*”. Pamiętam, że jak zatrzymali pociąg w Brześciu to stały kałuże z wodą i w nich leżeli jeszcze zabici Niemcy. Ruscy wagony pootwierali i ludzie wyskakiwali do tych kałuż pić po tych słonych śledziach. Później już polska stacja Terespol była i w Terespolu robili zdjęcia i paczki z UNRY dzielili. Były to duże paczki składające z dwóch mniejszych i taka połówka była na dwóch. Taki Kazik (już nie żyje) to dzielił się ze mną. Jak już podzielił to jeden cukierek został. Patrząc a on ten cukierek wziął na zęby, podzielił na pół i mi dał. Przyszło tam pełno ludzi i widziałem jak im łzy z oczu leciały na widok tej sceny. Wcześniej jeszcze ubowcy przyszli, otworzyli wagon i jeden ubek pytał za co żeśmy byli w łagrze, to mówiliśmy, że za AK. Już odchodził to my do niego: „*Chwileczkę, chwileczkę tu nie tylko za AK, tu jest jeszcze jeden gość. Niech i on powie za co. Za handlowanie bronią*” i zaczęliśmy się głośno śmiać. Ubek wykręcił się tylko na piętach poszedł. Później jak już bilety dali pojechaliśmy z kolegami od nas do Lublina. Z Lublina oni jechali do Osuch a jeden kolega, nawet nie wiem skąd on był, przywiózł mnie do Biłgoraja do szpitala. To 1946 roku w styczniu było. Przed Bożym Narodzeniem wyjechaliśmy, a w styczniu dotarliśmy do Polski. Miałem szczęście w nieszczęściu, że trafiłem do szpitala. Tam się mną opiekowali lekarze i dyrektor Pojasek. Jak wyszedłem na Biłgoraj i szedłem na tych szczudłach to stawałem co jakiś czas i odpoczywałem, a pani torebkę otwiera i szuka tam drobnych, wtedy ja na pięcie i myk. Bardzo nie lubiłem tej jałmużny. Owszem

jak powiedzieli, że na obiad zapraszają, czy na pięćdziesiątkę, czy na setkę, to się zgodziłem, ale tego nie chciałem. Ludzie stawali i się dziwili. Byli tacy, że zbierali, ale to już ostateczność była, takie poniżanie swojej godności. Jak w tym szpitalu byłem, dyrektor Pojasek obiecał, że mnie wyleczy, że postara się o protezę, o rentę, ale UB nie pozwoliło. Przyszedł pożegnać się. Łzy mu z oczu poszły i mówi: „*Niestety musimy się pożegnać*”. Wtedy mnie się zdawało, że ja bez nogi już sobie nie dam rady w życiu, ale dowiedziałem się, że ojciec jest na Zachodzie. Założył drugą rodzinę<sup>1</sup> i tam już leśniczym był. W Lublinie czekałem na pociąg do Kołobrzegu. Był tam na dworcu taki marynarz bez rąk i bez nóg. Na takim wózku miał deskę i organki i na tych organkach grał. Woził go jakiś człowiek. Później poszedłem do restauracji przy dworcu. Chciałem się napić lemoniady. Spotkałem tam tego marynarza, a on mówi do mnie: „*Kolego ja stawiam*”. Z początku nie chciałem, krępowałem się przyjąc poczęstunek od niego, a on wtedy: „*Co gardzisz?*” Odpowiedziałem: „*Nie gardzę, jak proponujesz to niech będzie*”. Chciałem powiedzieć za twoje zdrowie, ale się ugryzłem w język. A on taki zadowolony, że mógł kogoś ugościć, od nowa siadł do tego wózka i grał na tych organkach. Wtedy powiedziałem sobie: „*Popatrz jak on sobie daje radę i cieszy się z tego życia, to jak protezę będę miał i zacznę pracować, to mogę żyć*”. Pojechałem do ojca i tam u niego w gminie wszystko mi załatwili. W Toruniu był zakład dla inwalidów. Niby państwowy, ale gmina wszystko opłacała i tam się zawodów uczyło. Była tam możliwość uczenia się zawodu krawieckiego, cholewkarskiego, szewskiego, elektronicznego, ale te kursy były już wszystkie zajęte. Dla mnie pozostał kurs włókienniczy. Jedną nogą na warsztacie szaliki dla kolegów robiłem. Potem do Dzierżoniowa mnie przywieźli, a kierownik zakładu w śmiech. Zaprowadził mnie na halę, a tam maszyny chodzą. „*Jak pan tu na jednej nodze da radę, przecież pan by zginął między tymi maszynami*”. Kierowniczką wydziału pracy i płacy dowiedziała się, że inwalida tutaj do pracy się zgłosił to zaraz mnie do siebie wzięła i tam pracowałem. Mieszkanie dostałem i pracę,

---

<sup>1</sup> Antoni Szostak ożenił się z wdową po Władysławie Dzikoniu, który poległ w bitwie pod Osuchami.

żona też dostała pracę, bo była z urody podobna do Żydów, a dyrektor zakładów włókienniczych był Żydem. Żydzi ją wkręcili do tej pracy. Oni zakładali spółdzielnie pracy i tylko żydowskie rodziny zatrudniali, ale żona źle się czuła wśród nich i przenieśliem się z powrotem do Torunia. Tam zacząłem pracować, rodzinę miałem, trójkę dzieci. Po śmierci żony zaopiekowała się mną najmłodsza córka Wiesia. Mam siedmioro wnucząt i dziesięcioro prawnucząt. To ładna gromadka, no to dziadek, pradziadek musi żyć i tam od czasu do czasu sięgać do kieszeni na urodziny i dlatego chce się żyć.

*(opr. Maria Działo)*



Antoni Szostak (w pierwszym rzędzie piąty od lewej strony),  
ze swoim pułkiem.



Antoni Szostak ze znajomymi, po wojnie.





Pogrzeb Antoniego Szostaka. Przy trumnie stoją od lewej strony: Stanisław Matysiak, Edward Błaszczak „Grom”, Franciszek Osuch, Stanisław Szostak „Trzynastka”.



Drugi z prawej Wojciech Osuch z Osuch, uczestnik bitwy nad Sopotem.

## Spis treści

*Zygmunt Buszkowski „Żółty”*

**Relacja żołnierza AK z oddziału**

**Józefa Steglańskiego „Corda” (opr. Maria Działo) ..... 3**

*Jan Świst „Wiarus”*

**Historia działalności partyzanckiej w okresie II wojny światowej**

**we wsi Pardysówka Duża i Pardysówka Mała,**

**gm. Józefów koło Biłgoraja. (opr. Maria Działo) ..... 24**

*Stanisław Mazur „Elski”*

**Miesiąc służby w oddziale „Groma”. (opr. Maria Działo) ..... 41**

*Stanisław Szostak „Trzynastka”*

**Relacja żołnierza AK z oddziału**

**Edwarda Błaszczaka „Groma” (opr. Maria Działo) ..... 46**